



Papież Franciszek:
15 CHORÓB
WATYKANU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311300

e-koleda, koleda!



sklep.mleczko.pl



1200 i dalej

To już 1200. numer „Przeglądu”. Jubileusz i refleksja, że od 23 lat zawracamy głowę Czytelnikom. Co robimy chętnie, choć szron na głowie i włosów ubyło, z tą samą energią, z jaką startowaliśmy 20 grudnia 1999 r. A zaczęliśmy z przytupem. Cały zespół redakcyjny ówczesnego „Przeglądu Tygodniowego” rozstał się z właścicielem, który kupił tytuł za skromne pieniądze, bo chciał mieć trampolinę do kariery politycznej. Kapitalizm w polskim wydawnictwie wyleczył nas ze złudzeń, z którymi Polacy wchodzili w lata 90. Rzeczywistość była zbyt ponura jak na skromną wiedzę ludzi o rzekomo wolnym rynku, który wszystko mądrze reguluje. W tę bajkę wierzone niestety zbyt długo. A i teraz nie brakuje fanatyków pełnej wolności gospodarczej. Zapał im się kończy, gdy z potencjalnych zwycięzców stają się bankrutami. I pierwsi stają w kolejce po dotacje z budżetu. W czasie covidu masowo korzystali z nich nawet doradcy podatkowi, którzy zarabiali na uczeniu, jak nie płać podatków. Na sztandarach wolność, a w realu załgany egoizm.

Tak jak zapowiedzieliśmy w pierwszym numerze „Przeglądu”, nasz tygodnik „nie jest własnością wielkiej spółki handlującej mydłem i powidłem ani żadnej grupy polityków. Jest własnością dziennikarzy”. Zaczynaliśmy od zera. A naszym kapitałem było zaufanie tysięcy czytelników, którzy znali nasze teksty drukowane w „Sztandarze Młodych” i „Przeglądzie Tygodniowym”. Tego, co mamy w głowach, poglądów i dorobku dziennikarzy oraz

komentatorów tygodnika nikt nam nie zabierze. Podobnie jak długiej listy tak wybitnych autorów jak Aleksander Małachowski, Stanisław Lem, Krzysztof Teodor Toeplitz, Bronisław Łagowski, Tadeusz Zieliński, Janusz Stanny, Piotr Kuncewicz, Ludwik Stomma, Edward Mikołajczyk i Krzysztof Daukszewicz. Kłaniam się też nisko tym, którzy są z nami dziś: Bronisławowi Łagowskiemu, Andrzejowi Romanowskiemu, Janowi Widackiemu, Tomaszowi Jastrunowi, Romanowi Kurkiewiczowi, Andrzejowi Szahajowi, Wojciechowi Kuczokowi i Agnieszce Wolny-Hamkało.

Budowanie tygodnika to mozolny, żmudny, bardzo delikatny i długi, niekończący się proces. Jego fundamentem jest wspólnota poglądów. Dziennikarstwo, które uprawiamy, jest po części rzemiosłem, po części sztuką i służbą. Dla nas, w „Przeglądzie”, bardzo ważne jest właśnie takie podejście do spraw publicznych. Staramy się to udowodniać na miarę naszych możliwości. Choć z pewnością wymagania Czytelników są większe.

„Przeglądowi” nie brakuje odwagi. Choć bardziej cenimy rozum, rozsądek, wiedzę i fakty. Zwłaszcza gdy piszemy o historii. Na łgarstwa i fałszowanie przeszłości jesteśmy szczególnie uczuleni. Bronimy i będziemy bronili dorobku i życiorysów milionów Polaków, którzy żyli i pracowali w czasach Polski Ludowej. Jesteśmy także po to, aby prawdy nie dało się zakopać.

Dziękuję wszystkim Czytelnikom za te 1200 numerów z nami.

BAKOWSKI



NOWY ROK z e-bookami PRZEGLĄDU

Do wyboru

aż 40 książek!

Wszystkie
za 9,90 zł

Kup w promocji
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8** Wzloty, upadki, nadzieje i rozczarowania roku 2022
- 18** Drugie życie produktów
Używane nie hańbi
- 22** Polska nie zbankrutowała
Z czym wchodzimy w 2023 r.
- 24** REPowerEU
– czyli dokręcanie ekologicznej śruby
- 38** Pamiętamy o sąsiadach
W Orli dbają o pamięć ofiar Holokaustu

KOŚCIÓŁ

- 14** Kościół na rozdrożu
Co może zrobić Franciszek

ZAGRANICA

- 26** Jestem Elly!
Korespondencja z Włoch
- 30** Kod milczenia
Seksualna przemoc w greckich mediach
- 34** Kryptopotęga
Hakerskie imperium Korei Północnej

HISTORIA

- 40** Pragnienie totalitaryzmu
– rozmowa z dr Alicją Bartnicką
- 44** Zapomniani krewni
Gabriela Narutowicza
Rodzinne losy

ZDROWIE

- 46** Medycyna nie jest jak matematyka
– rozmowa z prof. Markiem Cisowskim

KULTURA

- 50** Pragmatyk do szpiku kości
– rozmowa z Markiem Roefflerem
- 54** Culturalia
- 66** Wędrujące obrazy

OBSERWACJE

- 55** Magia Angkoru
Podróże Jacka Pałkiewicza
- 58** Przyroda się opłaca
Pasjonaci birdwatchingu

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
1200 i dalej
- 17** Jan Widacki
Karnawał polski
- 21** Andrzej Romanowski
A może optymizm?
- 29** Roman Kurkiewicz
Ile kosztuje słowo przepraszam i dlaczego tak niedrogo?
- 33** Tomasz Jastrun
I już nowy rok
- 37** Wojciech Kuczok
Lamentacja noworoczna



26

ZAGRANICA

JESTEM ELLY!

Korespondencja z Włoch



40

HISTORIA

PRAGNIENIE TOTALITARYZMU

– rozmowa
z dr Alicją Bartnicką



PRZYRODA SIĘ OPŁACA

Pasjonaci birdwatchingu

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK

58

OBSERWACJE





Patriotyczne chojraki w natarciu

A jak mamy Niemcom wytłumaczyć, że nie stać nas na szybką realizację ambitnych celów polityki klimatycznej? Proszę zobaczyć, co nam Niemcy powpisywali do kamieni milowych w kwestii podatku od samochodów spaliniowych (bo przedstawiają swój przemysł na elektryczne) czy w kwestii wiatraków wytwarzających prąd (są ich głównym producentem). Żądanie reparacji jest dobrym argumentem w dialogu polsko-niemieckim, bo gdyby nie zniszczenia wojenne, byłibyśmy w zupełnie innym miejscu pod względem zamożności.

Maciej Burzyński



Współcześni Niemcy to już zupełnie inne mentalnie społeczeństwo. Oczywiście generalnie, bo skrajności występują wszędzie. A my nadal, gdy idziemy krok do przodu, to robimy dwa kroki do tyłu. Może i ogólnie nie mamy czego się wstydzić

na tle historii innych narodów, ale współczesna postawa nie uprawnia nas do moralizowania i kategoryzowania ludzi według miejsca pochodzenia.

Co ma do reparacji PRL i jej pragmatyzm w stosunkach międzynarodowych? A gdzieś spadkobiercy tego państwa? Przecież obecni władarze, jak i niemalą część opozycji, dostali we władanie państwo znikąd. Polacy, którzy teraz domagają się zadośćuczynienia od zupełnie innych pokoleń za zniszczenia ojczyzny, które przecież nie odbudowywali (bo odbudowano ją wcześniej), powinni się zastanowić, czy w niedalekiej przyszłości nie powinni płacić rodakom za obecne niszczenie ojczyzny, za swoje błędne wybory, za roztrwianie wspólnego dorobku, za ośmieszanie ogółu, za upokarzanie tych, którzy nie pasują do ich „kultury”, za ten cały zamordystyczny pomysł rodem z Korei Północnej.

Michał Błaszczak



Ratujmy dziki

Nie mogę się pogodzić z tym, co spotyka dziki – te nieagresywne przecież zwierzęta. Wiem, co mówię, bo kilka razy spotkałam je w czasie spacerów z psem. Mój pupil jest łagodny i nie zaczepiał kosmaciuchów. Popatrzyliśmy na siebie i każdy poszedł w swoją stronę.

Dziki są zabijane w ramach walki z afrykańskim pomorem świń, chociaż naukowcy udowadniają, że zwierzęta te nie są winne rozprzestrzenianiu się choroby. Drugi argument jest taki, że dzików jest za dużo. I tu częściowo się zgadzam. Stada dzików nie mogą ganiać po miastach, to dla obu stron niebezpieczne.

Dlatego dziki potrzebują szybkiej pomocy. Żeby zmniejszyć ich populację, sięgnijmy do metod od dawna stosowanych przez przyjaciółki kotów wolno żyjących. Rozkładanie środków antykoncepcyjnych i sterylizację. Czy nie można by odławiać odyńców, kastrować ich i wypuszczać? Po pewnym czasie dzików będzie mniej. Ale ileż to będzie kosztować, mówią mi oponenci. Tylko że na mordowanie dzików też wydano ileś tam milionów. Każdy zabójca dostawał setki złotych za zabitego dzika, za łochę więcej, jak była ciężarna, to pewnie jeszcze więcej. Jeżeli władza nie będzie finansować likwidacji tych zwierząt, znajdzie środki na akcję sterylizacyjną.

Violetta Waluk

ZDJĘCIE TYGODNIA



Mimo trzaskającego mrozu praca na budowie wre. Międzynarodowa wystawa rzeźby śnieżnej w chińskim Harbinie.

Według ostatniego spisu powszechnego w Polsce mieszka **37 mln osób (GUS)**.

Zdaniem NIK jest duża rozbieżność w liczeniu zadłużenia Polski. Według metodyki krajowej zadłużenie jest na poziomie 1,148 bln zł, a deficyt budżetowy wynosi 26,5 mld zł. Według metodyki unijnej zadłużenie wynosi 1,410 bln zł, a deficyt 131 mld zł.

Julia Przyłębska, której kadencja jako prezes Trybunału Konstytucyjnego skończyła się 22 grudnia, będzie dalej pełnić tę funkcję. Bo taka jest wola prezesa Kaczyńskiego i chęć samej Przyłębskiej. No cóż, jaki Trybunał, taka prezes.

Zaczęła obowiązywać tzw. **ustawa antylichwiarska**, która m.in. ogranicza możliwość nakładania dodatkowych opłat na klientów firm pożyczkowych i wprowadza zakaz rolowania długów.

Ponad 830 tys. firm w Polsce to firmy rodzinne. Tylko 8% ma już ustaloną sukcesję, choć właściciele wiedzą, że ich rodziny są zainteresowane prowadzeniem przedsiębiorstw.

W ciągu dziewięciu lat dzięki **Polsatowi, Katarzynie Dowbor i ekipie budowlanej** ponad 300 osób skorzystało z programu „**Nasz nowy dom**”.

Iga Świątek, według rankingu WTA najlepsza tenisistka świata, zarobiła w 2022 r. 14,9 mln dol., w tym 5 mln dol. dzięki sponsorom (PZU, Rolex, Xiaomi, Asics).

Katarzyna Łaziuk z Urzędu Miasta w Mińsku Mazowieckim, działająca na rzecz zachowania pamięci o wielokulturowej przeszłości miasta, została laureatką **Nagrody Polin 2022**.

W Krakowie nawet pójście na pasterkę grozi stresem. Jeśli pechowo trafi się na homilię abp. Marka Jędraszewskiego. Metropolita skrytykował prezydenta Dudę za słowa, że Polska potrzebuje spokoju, a nie konfliktów. I wychwalał lex Czarnek. Mówił jak polityk partii rządzącej, a nie duchowny.

Po trzech kwartałach tego roku zysk netto Grupy Kapitałowej Jastrzębskiej Spółki Węglowej przekroczył 6,36 mld zł.

Wydarzeniem kulturalnym roku była płyta wybitnego pianisty **Krzysztofa Zimmermana**, grającego utwory fortepianowe Karola Szymanowskiego.

Mel C, była członkini Spice Girls, zrezygnowała z występu podczas „Sylwestra marzeń” organizowanego przez TVP 2 w Zakopanem. Poinformowała, że nie szedłby w parze z wyznawanymi przez nią wartościami i wspieraniem społeczności LGBT.

Apartamentowiec z Żor zaprojektowany przez pracownię **Franta Group**, kierowaną przez Macieja Frantę, wygrał konkurs architektoniczny World Design Awards 2022.

Aż 26% wynosi bezrobocie w powiecie sztydlowieckim (woj. mazowieckie) i od ubiegłego roku jeszcze wzrosło.

Liczba gospodarstw rolnych w Unii Europejskiej zmniejszyła się w latach 2010-2020 z 12 mln do 9 mln. Codziennie znika ponad 80 gospodarstw.

Bas-baryton Tomasz Konieczny po serii kreacji w dramatach Wagnera i **tenor Piotr Beczała** po roli w „Aidzie” Verdiego i „Fedorze” Giordana ugruntowali swoje pozycje gwiazd światowego formatu.

PRZEBŁYSKI

Zaczadzone umysły atakują

Przed świętami pisaliśmy o ataku „Naszego Dziennika” na „Gościa Niedzielnego” za... atak na Jana Pawła II. W rewanżu redakcja „Gościa Niedzielnego” odstąpiła od świętecznego miłosierdzia. Andrzej Grajewski napisał o toruńczykach, że manipulują, przeinaczają, opluwają i zniesławiają konkurencję, a ich umysły są chore i zaczadzone nienawiścią. Nie wierzycie? To czytajcie:



„Nasz Dziennik» manipulując wyrywając z kontekstu cytatami, w pełnej jaści publikacji zaatakował nasz tygodnik, zarzucając nam, wbrew faktom, rzekomy atak na świętość św. Jana Pawła II. Oburzająca jest nie tylko teza artykułu, ale i metoda insynuacji i przeinaczeń, jaką posłużono się, aby opluć i zniesławić nasz artykuł. (...) Tylko w chorych i zaczadzonych stereotypach i uprzedzeniach, umysłach mogła zostać sformułowana teza, że ta publikacja jest atakiem na świętość Jana Pawła II”.

Zdort o motywacji Walusia

O wynurzeniach Dominika Zdorta, szefa portalu tygodnik.tvp.pl, o mordercy Walusiu nie pisaliśmy przed świętami, bo wszyscy zasługujemy na chwilę spokoju. Ale trudno pominąć szczerą Zdorta na łamach „Sieci”,



tygodnika ostentacyjnie katolickiego. Według Zdorta najlepiej by było, gdyby to Hani swoje życie skończył marnie w więzieniu. Oczywiście Zdort nie usprawiedliwia polskiego mordercy. Nie używa też tego określenia. Dla Zdorta Waluś jest przestępcą albo zabójcą. A czy Hani zasługuje na śmierć? Dla Zdorta „to jest pytanie bardziej moralne, filozoficzne i politologiczne niż praktyczne”. Czekamy więc na kolejne rozdziały wywodów Zdorta o moralności. Może kiedyś prawda go wyzwoli?

Crédit Agricole walczy o 96 groszy

Omijajcie francuskie banki, bo kontakt z nimi grozi zawaletem. Czytelnik spłacił kredyt w Crédit Agricole. Dokładnie tyle, ile mu ekipa prezesa Piotra Kwartkowskiego wyliczyła. Z odsetkami, prowizjami, wyrównaniami i wszystkim, co ekipie wynajętej przez Francuzów przyszło do głowy. Zapłacił i zapomniał. Do czasu. Bo urzędnik prezesa przysłał mu taki SMS:

Informujemy, że na kredycie nr **1111111111** wystąpiła niedopłata w wysokości 0,69 PLN. Proszę niezwłocznie uregulować zaległość. Każde opóźnienie negatywnie wpływa na historię kredytową. Crédit Agricole BP SA



PYTANIE TYGODNIA

Czego lewica zazdrości PiS?

DR ADAM OSTOLSKI,

socjolog, UW

Zawarta w pytaniu teza mnie nie przekonuje. Lewica dziś niczego PiS nie zazdrości – niestety. A mogłaby i powinna zazdrościć przynajmniej jednej rzeczy. Chodzi mi o odwagę mówienia i robienia rzeczy, które się nie podobają.

MARTYNA JAŁOSZYŃSKA,

członkini Zarządu Okręgu Warszawskiego Razem

Myślę, że najbardziej zazdrościmy partii rządzącej tego, że w 2015 r. udało się jej bardzo skutecznie wyjść poza swoją dotychczasową bańkę wyborców i dotrzeć do zupełnie nowych grup społecznych, przekonać je do tego, żeby na nią głosowały, a następnie utrzymać dużą część zdobytego poparcia. To jest osiągnięcie, jeśli odłożyć na bok niektóre sposoby, którymi się posługiwano na drodze do tych celów. Zazdrościć Prawu i Sprawiedliwości można także doświadczenia, jakie dało mu te osiem lat. Zwłaszcza młodsze pokolenie polityków i polityczek nie miało takich szans rozwoju, jakie mają młodzi działacze prawicy, odkąd zdobyła ona władzę.

MICHAŁ SYSKA,

*prawnik, doradca polityczny, publicysta,
Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a*

Jeśli czegoś lewica może zazdrościć PiS, to posiadania władzy i możliwości realizacji swojej wizji państwa. Od 2005 r.

lewica może jedynie krytykować działania rządzących i przedstawiać własne pomysły. Ważne, by po najbliższych wyborach zyskała wpływ na bieg wydarzeń w kraju, aby rządy po PiS nie oznaczały powrotu do starych, neoliberalnych recept, których negatywne konsekwencje wyniosły partię Jarosława Kaczyńskiego do władzy.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

MICHAŁ CZARNOWSKI

Żelaznego elektoratu, który potrafi przelknąć każdą aferę swojego ukochanego ugrupowania i wierzy we wszystko, co mu się wciska – od „sukcesów” partii po nieudolne tłumaczenia pisowskich urzędników dotyczące stanu kraju i polityki zagranicznej. Dzięki takim wyborcom PiS jest niezatapialne niezależnie od tego, co robi, zepsuje czy ukradnie...

DANUTA ROSTKOWSKA

Ile złego by nie powiedzieć o tej partii, nie można jej odmówić niezłego słuchu społecznego (czy może po prostu bardziej umiejętnego korzystania z zamawianych badań). Prezes i jego ludzie przeważnie potrafią dobrze ocenić, jakie postulaty są dla ich elektoratu kluczowe, a jakie obojętne lub budzące sprzeciw. Lewica tego nie potrafi, dlatego częściej zniechęca swoich zwolenników, niż przyciąga nowych.

Not. Michał Sobczyk

Wzloty, upadki, nadzieje i rozczarowania roku 2022

Robert Walenciak

DO GÓRY

Nie tak miało być! Rok 2022 był rokiem złym i był rokiem próby.

Był zły, bo niemal cały upłynął pod znakiem wojny za naszą wschodnią granicą, napaści na sąsiada, której nie da się w żaden sposób uzasadnić. Wojna ustawiła nam życie publiczne, media, nawet opozycję, przykryła inne sprawy. Co tu dużo gadać, okazała się dla PiS politycznym złotem.

Trzeba też było przyjąć miliony uchodźców, dać im dach nad głową i środki na przeżycie. A w dłuższej perspektywie – możliwość adaptacji, znalezienia pracy, mieszkania, szkoły dla dzieci. Tę próbę, której poddał nas miniony rok, przeszliśmy – tak mówią wszyscy, więc chyba powinniśmy z tą opinią się zgodzić – z sukcesem.

Poza tym był to rok dwóch plag, które nawiedziły nasz kraj. Pierwsza to drożyzna, szalony wzrost cen i powrót do dawnych czasów, co do których byliśmy przekonani, że nie wrócą – że ceny idą w górę i każdy większy wydatek trzeba planować.

Druga plaga to coś dobrze nam znanego, ale tym razem to „coś” wystąpiło w większym natężeniu – głupota naszych polityków. Życie polityczne w Polsce w minionym roku przekroczyło wszelkie bariery. Symboliczny jest wyczyn komendanta głównego policji, który wystrzelił w swoim gabinecie z granatnika. Przebił sufit, przebił podłogę, zdemolował pomieszczenie... Czy chociaż jedna osoba w tym kraju mogła wcześniej coś takiego sobie wyobrazić? Niewyobrażalne stało się rzeczywistością.

Rzeczywistością jest także sytuacja związana z Krajowym Planem Odbudowy, czyli miliardami z Unii Europejskiej, które dawno Polska by dostała i mogła nimi dysponować, gdyby nie sprawa kilku sędziów. Na własne życzenie Polska traci więc środki z KPO, za to zaczęła się domagać od Niemiec pieniędzy za zniszczenia z II wojny światowej. I to nie jest komedia, bo dzięki tej sprawie Arkadiusz Mularczyk został wiceministrem, a paru wujków inkasuje miesiąc w miesiąc po kilkanaście tysięcy złotych. Bo PiS już powołało instytucję, która ma szacować polskie straty.

Nawiasem mówiąc, instytucji, które powołało PiS i które zajmują się wydumаныmi problemami, typu komisja smoleńska, jest cała masa. „Miś” Barei wrócił, stał się rzeczywistością i ma się całkiem dobrze.

Co dalej? Panuje opinia, że rok 2023 będzie przełomowy. Że skończy się wojna na Ukrainie, że w Polsce odbędą się wybory, że zaczną być normalnie. Czego Państwu życzę!

HENRYK SKARŻYŃSKI – elita

Powinienem przed imieniem i nazwiskiem wstawić: prof. dr hab. n. med. dr h.c. multi. Człowiek o imponującym dorobku. Poświęcił życie walce z głuchotą, od ponad 25 lat wszczepia implanty ślimakowe dzieciom i dorosłym, utworzył Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu, zbudował Światowe Centrum Słuchu w Kajetanach, w swojej dziedzinie znany jest na całym świecie. Operuje, pisze, wykłada, przekonuje. Jest jak z powieści XIX-wiecznych pozytywistów – sam, jedynie z dobranym zespołem, siłą woli i niespożytą energią zmienia świat. Lista nagród, tytułów, odznaczeń mogłaby go zakryć.

Zapyta ktoś, dlaczego piszę o nim w tym miejscu. Z oczywistego powodu – w dzisiejszej Polsce, żyjącej albo wiadomościami z rubryk plotkarskich, albo awanturami polityków, są również tacy jak Henryk Skarżyński. Wybitni, pracowici, oddani idei pomocy potrzebującym. Najwyższy czas, by tacy ludzie stali się inspiracją dla reszty. Bo to są prawdziwe elity.

JAROSŁAW KACZYŃSKI – wujek dobra rada

Umieszczam go w tej grupie, bo tak czy inaczej to najważniejszy polski polityk. Rok 2022 minął mu na jeżdżeniu po Polsce i wygłaszaniu różnych rewelacji. Że kobiety dają w szyję i dlatego nie chcą mieć dzieci, że LGBT, że Niemcy nas biją, a Tusk im służy... Wujek na weselu. Jedni twierdzą, że w ten sposób sonduje nastroje społeczne przed wyborami, sprawdza, co chwyci, a co nie. Drudzy – że już niczego nie sonduje, tylko lepi te nastroje, podpowiada działaczom partyjnym, co mają powtarzać, a pracownikom mediów, co pisać i mówić.

Jest i trzecie wytłumaczenie tej aktywności – Kaczyński próbuje w ten sposób konsolidować swój obóz, który rozpadł mu się na walczące ze sobą koterie, a on za bardzo nie ma instrumentów, by to trzymać w kupie. Ucieka więc do przodu. Opowiada o wyborach, straszy Tuskiem itd.

Myślę, że wszystkie trzy hipotezy są prawdziwe. Że Kaczyński, owszem, dźwierży lejce władzy, ale ręce ma coraz słabsze. No i te konie coraz mocniej mu wierzgają.



JACEK SASIN – strażnik konfitur

Przypomina mi znajomego ochroniarza ze sklepu, w którym robię zakupy. Duży, łapy jak bochny, trzy słowa na krzyż, niby niegroźny, ale spróbuj wynieść coś pod pachą! Czotg. I w takiej roli został obsadzony. W rządzie słucha tylko Jarosława Kaczyńskiego, czyli nadpremiera. Pozostali, łącznie z Morawieckim, nie mogą mu podskoczyć. Bo to Kaczyński obsadził go – historyka z wykształcenia – na stanowisku ministra aktywów państwowych, który zarządza majątkiem państwa. Nikt nie ma wątpliwości – Sasin to ekonomiczny dyletant, więc czytamy jego nominację w ten sposób: nie o wyniki ekonomiczne nadzorowanych przez niego spółek chodzi, ale o to, która kogo zatrudnia, dla której koterii jest pożywieniem. I Sasin ma na ten skład konfitur baczyć, jak ten mój znajomy ochroniarz, by nikt nie wynosił niczego na lewo.

DANIEL OBAJTEK – menago

Absolwent technikum rolniczego. Do reszty jego wykształcenia nie przywiązywałbym wagi. Uduje światowego menedżera, to nieważne, że śmiesznie, ważne, że Kaczyński jest pod wrażeniem. W monarchiach tak bywało, że król lub car znalazł się pod urokiem jakiegoś dworzanina i na wszystko mu pozwalał. To jest przypadek Obajtka, bo racjonalnie jego kariery wytłumaczyć się nie da. Zbiera: przyłączył do Orlenu Lotos, przyłącza PGNiG, kupił gazety regionalne, ma Ruch, czyli sieć dystrybucji, wszystko w jednej ręce. On to tłumaczy, że rośnie w ten sposób siła państwa. Ja widzę, że rośnie monopol. Owszem, państwo jest silniejsze – ale wobec obywateli. A w świecie?

W świecie za psie pieniądze oddał rafinerię Lotos Arabii Saudyjskiej, co zasługuje na wizytę u prokuratora. Oszałał na punkcie tej transakcji, szedł do niej po trupach, coś na ten temat może powiedzieć Piotr Naimski, odstrzelony w lipcu pełnomocnik premiera ds. energii.

Obajtek za pieniądze, które zarabia, skupuje nieruchomości. Czyli postępuje jak 90% Polaków, niezależnie od wykształcenia, którzy mają finansowe nadwyżki. Jaki menedżer, takie inwestycje.

ZYGMUNT SOLORZ – formuła 1

Było hucznie. Podczas gali 30-lecia Polsatu klaskało mu i gratulowało tysiące ludzi. Nie byle jakich. Mało kto w Polsce mógłby liczyć na podobny aplauz.

Dobrze pamiętam początek lat 90., kiedy ruszał polski biznes i tworzone rankingi najbogatszych. Do dzisiejszych czasów przetrwała z tego grona garstka, a największą karierę zrobił Zygmunt Solorz. Dziś miliarder. Nie miejsce tu, by wyliczać jego firmy. Ważne, że potrafił je tak skonstruować, że rozwijają się, omijają kłopoty. I że ma nosa do ludzi. Doceńmy też, że na różnych zakrętach historii nie wypadł z trasy, jechał dalej, to łapiąc rynkowe wiatry, to dogadując się z aktualną władzą. Właśnie mija kolejny zakręt, tym razem z napisem PiS. Owszem, z piśkiem opon, ale pewnie.

MARIUSZ BŁASZCZAK – nudziarz

Człowiek pieczarka. Syn inżyniera z FSO, a manieri ma jak szejka arabski. Co widzi, to kupuje. Czotgi, samoloty, haubice... Cena nie gra roli. Jak twierdzą ludzie znający się na rzeczy, zamówił tyle, że małe są szanse, by państwo stać było na ten sprzęt, a wojsko zdołało wyszkolić jego obsługę. Ech, nie nasz to kłopot! Czyżby?

Błaszczak ma swoje pięć minut, bo jest wojna, więc jest ważny, może pewne rzeczy wymuszać, być w centrum uwagi. I to robi, choć niewiele mu to daje. Nie ma elokwencji Głapińskiego, riposty Kurskiego czy choćby złośliwości Terleckiego. Jest nudny, przy okazji wredny, w każdym swoim nudnym przemówieniu dogaduje opozycji, zupełnie niepotrzebnie, jakby to ona była Putinem. Kiedyś mówiono, że to gracz, że może być premierem, a nawet przyszłym wodzem prawicy. Nic z tych rzeczy, pieczarka zawsze będzie pieczarką, z kawiozem jej nie pomylisz...

DO DÓŁU

ABP MAREK JĘDRASZEWSKI – zmurszała twierdza

Hierarcha, który ma wielki talent. Do judzenia, obrażania, dzielenia. Pasterz, który owieczki okłada batem. Owszem, przynosi mu to popularność, cytują go media, ale czy Kościołowi to służy?

To nie jest winda w dół, jak chcieliby niektórzy, raczej równia pochyła. Powoli, ale systematycznie, rok po roku, krok po kroku, polski Kościół traci wiernych i traci ▶

► szacunek. Nic w tym wesołego, raczej smutek, że tak wielka i ważna instytucja, zakorzeniona w polskiej rzeczywistości, może być tak zepsuta i niedostosowana do życia.

To osuwanie się nie jest ciche, przeciwnie – biskupi, z Jędraszewskim na czele, wołają, że walczy z nimi światowe lewactwo, że precz z Brukselą. Chowają się za portretami Jana Pawła II, mizdrzą do PiS, żeby pomogło, rozkręcając emocje. Chwytają się różnych świeckich sposobów, jakby zapomnieli, że sami innym w podobnych sytuacjach rekomendują pokorę i modlitwę.

JACEK KURSKI – bulterier wygnany

Był Jacek, nie ma Jacka. Odstrzelił go Jarosław Kaczyński jak gołębia z wiatrówki. Pisaliśmy o tym: wsiadł prezes TVP Jacek Kurski do windy, by zjechać do podziemnego parkingu, a gdy wyjechał na powierzchnię, już prezesem nie był. Teraz, na pocieszenie, Adam Glapiński załatwił mu posadę w Banku Światowym. Za 226 tys. dol. rocznie. Pół Polski więc wyje z tej hucpy.



Losy Jacka Kurskiego można interpretować rozmaicie. Że z polityki i z propagandy, takiej absolutnie bez hamulców, można bogato żyć. Albo przeciwnie – że dla wodza i partii można robić największe świństwa, a potem, gdy wódz skieruje kciuk do dołu, pies z kulawą nogą o takiego bulteriera się nie upomni, partia nabierze wody w usta i wszyscy się ucieszą, że udało się go wypchnąć na drugi kontynent. Daleko, daleko, żeby w Warszawie nie mącił. Takie to towarzystwo.

JAROSŁAW SZYMCZYK – ofiara

Komendant główny policji. A może już zdymisjonowany? Rozwalił dwa piętra w budynku Komendy Głównej Policji, strzelając z granatnika w swoim gabinecie. Przeżył. Jak to się zmienia – rok temu pisałem o nim ze zgrozą, że napuszcza na kobiety i dzieci osizków z pałkami teleskopowymi, teraz piszę z rozbawieniem, że ofierma, która nie wie, co naciska, i to ofierma niebezpieczna. On sam mówi, że czuje się nie sprawcą, tylko ofiarą. No to już wiemy – Jarosław Szymczyk to ofiara. Losu.

Waha się więc jego los, na jednej szali jest powaga urzędu, na drugiej – zasługi Szymczyka dla władzy, której

broni i służy. Dość powiedzieć, że domu Jarosława Kaczyńskiego strzeże 40 policjantów, a jak trzeba, to i kilku set. Jak Westerplatte. Gdzie ta władza znajdzie bardziej służalczego obrońcę?! I to jest ten dylemat, i ta szala, na której leży jego głowa.

MICHAŁ DWORCZYK – żołnierz mocno poturbowany

Chciałoby się napisać, że padł, bo skompromitowały go ujawnione mejle. Ale pewnie padł dlatego, że uznano go za człowieka Morawieckiego, został zatem odstrzelony w wojnie wewnątrz PiS. A to ważna sprawa. Jeżeli politykę potraktujemy jako walkę o władzę i pieniądze, okaże się, że to, co opowiadają nam dziennikarze – że Tusk tamto, a Hołownia owamto – jest pustym gadulstwem i niczym więcej. A ta prawdziwa polityka to wojna wewnątrz PiS, wojna pod dywanem – o ministerstwa, o spółki, o banki. I Dworczyk w tym uczestniczył – grył ministrów, negocjował różne deale, ustawiał media, brał się do kadr. I teraz wyleciał spod tego dywanu, pogryziony i półżywy.

JANUSZ KORWIN-MIKKE – stary mebel

Dopadły go dwa nieszczęścia – wojna na Ukrainie i PESEL. Wojna spowodowała, że jego sympatia do Rosji, Putina, Kadyrowa i w ogóle różnych dyktatorów trzymających narody za twarz przestała być nieszkodliwym dziwactwem, to wszystko zaczęło mocno razić i odpychać.

Swoje zrobił również PESEL, Korwin-Mikke jest najstarszym polskim politykiem, skończył 80 lat, lubi przysypiać, więc partyjni podwładni zdecydowali, że wymienią go na inny model. Niekoniecznie lepszy, ale młodszy. Stare, trzeszczące krzesło na nowe. Tak też się stało, poaktowali go zgodnie z duchem poglądów przez niego głoszonych. Szybko i bezboleśnie. Amen.

NA ZERO

ANDRZEJ DUDA – czekając na wielką rolę

Właśnie uwalił lex Czarnek 2, a przy okazji zatrzymał projekt (który to już?) ustawy o sądach. Po czym wyjechał na narty. No, nie wiem, jak ocenić politykowanie Dudy, w każdym razie głębszego zamysłu w tym nie widać, raczej kompulsywne doskoki. Pół roku wszystko podpisuje, a potem się budzi i woła: ja też jestem ważny!

Prawda jest taka, że Duda nie wie, co z tą ważnością robić, i przez siedem lat prezydentury niczego politycznego nie zbudował. Dla antypisowców jest obcy, dla pisowców nie wiadomo jaki, Kaczyński z nim od miesięcy nie rozmawia... Na dobrą sprawę Duda wszystkim pokazuje, że prezydentura jest w Polsce niepotrzebna, że moglibyśmy bez niej się obejść.



ZBIGNIEW ZIOBRO – miliard

Już nie wygląda na chłopaczka, 52 lata swoje robi, powoli marszczy się i tysieje. Pewnie ma tego świadomość, bo gra z coraz większą desperacją, coraz bardziej mu się spieszy, wie, że czas ucieka.

Jest wśród wyborców prawicy i wśród jej działaczy grupa polexitowa, która uważa, że Unia Europejska Polsce szkodzi, że głównym wrogiem są Niemcy, że trzeba chwycić Polskę za twarz itd. No i Ziobro chce być ich sztandarem. Nadyma się więc i blokuje. To nic, że Polska z jego powodu traci 1 mln euro dziennie, że zablokował miliardy z KPO – on woła, że broni niepodległości przed Niemcami. A Kaczyński cynicznie mu ustępuje.

Do czasu. Wiosną zacznie się układanie list wyborczych. Wtedy przekonamy się, czy te krzyki Ziobry to była realna gra, czy blef.

ROZCZAROWANIA

WŁODZIMIERZ CZARZASTY – król obietnic

W Sejmie najbardziej lubi blisko niego siedzieć Ryszard Terlecki, żeby posłuchać złośliwości na temat polityków PO. Oto koalicja teteryków.

Wielkich nadziei z nim nie łączyłem, ale jakieś tam rachuby miałem. Z prostej przyczyny – klimat polityczny mamy taki, że lewica w Polsce powinna brać te 20% poparcia na luzie. Bo Europa, bo sprawy kobiet, bo neoliberalizm w odwrocie, bo plugawy język PiS... Ale nie bierze.

Moja hipoteza jest taka, że nie bierze dlatego, że ludzie do nowej partii, którą Czarzasty utworzył na ruinach SLD, nie mają zaufania. Bo to wszystko jest śliskie.

Rok temu Czarzasty wyrzucił z partii każdego, kto się z nim nie zgadzał, przerabiając ją na strukturę, w której przewodniczący jest nieodwoływalny tak jak w Kaczyński w PiS. Czy taka partia może przyciągnąć poważnych, szanujących się ludzi? Nie może, więc trzeba ich kupować. Pewnie dlatego w Warszawie trudno znaleźć środowisko lewicowe, w którym by nie mówiono, że właśnie był Włodek i obiecywał miejsca na listach do Sejmu i Senatu. Wierzę w te opowieści, aczkolwiek nie wierzę w listy wyborcze, na których ci wszyscy szczęśliwcy się pomieszczą. I mam wątpliwości, czy to jest fundament, na którym cokolwiek można zbudować.

GENERAŁOWIE KOMENTATORZY – lance do boju

Działają w polskich mediach grupa generałów komentatorów opowiadających o wojnie na Ukrainie. Słucham ich z rosnącym zdumieniem. Bo gdyby rzeczywistość wyglądała tak, jak to przedstawiają, Zełenski już od lata ▶

Jedyna jego nadzieja w tym, że PiS przerznie wybory do Sejmu, więc pisowskie niedobitki będą musiały się chronić pod jego skrzydłami, w jego wetach szukać ocalenia i wtedy pojawi się sens jego istnienia. I rola, którą przyjdzie mu grać.

MATEUSZ MORAWIECKI – 30 milionów

Premier. Ale co to za premierowanie... Właśnie czytam oficjalny komunikat, że spotkał się ze Zbigniewem Ziobrą. No, dziwny to rząd, w którym spotkanie premiera z jego ministrem traktuje się jako wielkie wydarzenie. I dziwny to szef rządu, który negocjuje z podwładnym.

To pokazuje, że Morawiecki jest półpremierem, bo po łowie rządu może nagwizdać (Sasin, Błaszczak, Kamiński, Gliński, wspomniany Ziobro, Kuchciński...), a do tego ma nad sobą nadpremiera Jarosława. Z tymi trudnościami radzi sobie tradycyjnie – rozdając pieniądze, posady i obietnice. Do tego ma talent. Tej hojności doświadczyli polscy piłkarze, choć na dobre im to nie wyszło – sypaną im Morawiecki obietnicą 30 mln zł. Niektórzy nawet w to uwierzyli, trener Michniewicz już zaczął te pieniądze dzielić. I figa. Na własnej skórze poczuł siłę premiera.

DONALD TUSK – goła i niewesoła

Walczy, pisząc tweety. I trochę gadając. Wysforował się na lidera opozycji, ściągnął innych w swój cień. I to jest dla opozycji zła informacja. Bo jeżeli głównym jej nabożem okazuje się człowiek grający w polskiej polityce od roku 1990, który siedem lat był premierem, a dziś znajduje się w czołówce tych, wobec których Polacy czują największą nieufność, to znaczy, że opozycja jest goła i (nie)wesoła.



► powinien urzędować na Kremlu, a niedobitki rosyjskich wojsk tułać się gdzieś za Uralem. Rozumiem, że jeden czy drugi generał może ulec magii mediów i wewnętrznej potrzebie mówienia tak, by widz czy słuchacz czuł się dobrze, by pokrzepić serca rodaków. Ale... na Boga! Prezydentowi, premierowi, ministrowi też tak mówili?

Można opowiadać z zapałem, można opowiadać z rozumą. Zdaje się, że w polskiej myśli wojennej ten drugi wariant nie został ukształtowany.

SZYMON HOŁOWNIA – na zakręcie

Nie chcę być złym prorokiem, ale wyraźnie przygast, wojna na Ukrainie, wojna PiS z PO – to wszystko podcięło mu skrzydła, zabrało tlen. Jeszcze dycha, zbiera 10-12% w sondażach, to i tak dobry wynik, ale co będzie dalej, tego nikt nie wie.

Kariera Szymona Hołowni i ten zakręt, na którym się znalazła, dowodzi dwóch pozornie tylko przeciwstawnych rzeczy. Że, po pierwsze, liczba tych, którzy nie znoszą PiS, ale nie oddadzą już głosu na PO (bo elektorat Hołowni to głównie byli wyborcy Platformy), jest wciąż bardzo duża, ponad 2 mln wyborców. A po drugie, że można te 2 mln sympatyków przytrzymać, mimo braku dościsła do mediów, braku struktur itd.

Ale brak owych struktur, i to na różnych poziomach, spycha takie ugrupowanie na margines. Jako wybór numer 2. A wyborca ma tylko jeden głos.

MEDIA – czas agitatorów

Siłą każdej demokracji są media, które informują i objaśniają. Tak, by obywatele wiedzieli, co się dzieje i mogli sobie wyrobić własne zdanie na temat różnych spraw. Z tego punktu widzenia polska demokracja jest bezsilna, bo media – w zdecydowanej większości – już nie informują i nie objaśniają, tylko agitują. Przetęczyły się na tryb

wojenny. Z sal sejmowych i innych aren mamy wieści korespondentów wojennych PiS i wieści korespondentów wojennych PO. Reszta się nie liczy. Media pisowskie mówią o politykach PO, że to zdrajcy, agenci, komuniści i złodzieje. A media platformerskie mówią o politykach PiS, że to zdrajcy, agenci, komuniści i złodzieje. Tak oto wygląda w Polsce pluralizm mediów i wolna debata.

CZESŁAW MICHNIEWICZ – 711

Niewłaściwy człowiek na niewłaściwym miejscu. Trochę mi go szkoda, trochę nie. Szkoda, bo nie jest fajnie, gdy wszyscy skaczą ci do gardła i obarczają winą za wszystko. Także za to, że Lewandowski nie potrafił strzelić karnego, a jego koledzy wymienić trzech celnych podań. Z drugiej strony – sam tego chciałeś, Czesławie...

Kłopot Michniewicza polega na tym, że nigdy nie powinien być selekcjonerem polskiej reprezentacji. Nie tylko ze względu na przeciętne umiejętności. Przede wszystkim dlatego, że trener, który 711 razy dzwonił do niejakiego „Fryzjera”, szefa mafii ustawiającej wyniki meczów polskiej ligi, nie powinien pchać się do wielkiej piłki. On to powinien wiedzieć, ale przede wszystkim ci, prezesie Kulesza, którzy go jako selekcjonera angażowali.

NADZIEJE

POLSCY WYBORCY – siła jednej karteczki

Zapyta ktoś, czym się zachwycam, skoro od lat polska scena polityczna jest zabetonowana, wyborcy żyją w swoich bańkach medialnych i nic się nie zmienia. Teoretycznie jest to prawda – ale nie do końca. Zmiana następuje, co roku przychodzi nowa grupa tych, którzy mogą głosować, młodych, a ona jest bardziej za Europą, chce innej Polski, więc nastroje ewoluują. Co będzie zaś jesienią? Sporo zależeć będzie od kampanii, od tego, co partie rzucą na stół. Ważnych będzie wiele czynników. Ale i tak najważniejsi będą wyborcy, kartka, którą wrzucą. W tym pokładam nadzieję.

RAFAŁ TRZASKOWSKI – następca tronu

Niewiele na polskiej scenie robi, schował się w Warszawie. A i tak mu rośnie. Lideruje w Polsce, jeśli chodzi o poziom zaufania, naprzemiennie z prezydentem Dudą. W zasadzie więc wszystko jest jasne – oto naturalny następca Donalda Tuska, przedstawiciel nowego pokolenia, które zastąpi generację polityków solidarnościowych. Nie wdaje się w bójki, nie judzi, czeka na swój czas. Jako prezydent największego miasta w Polsce ma wystarczająco mocną pozycję. PiS próbuje go atakować – jak grochem o ścianę. Tusk także już wie, że trzeba się z nim układać. I że ten zmiennik Małgorzaty Kidawy-Błońskiej jest gotów



być również jego zmiennikiem. Zwłaszcza że budzi mniej obaw w gronie ewentualnych sojuszników.

To niemała sztuka przetrwać w takiej formie w drugiej linii – żeby ludzie pamiętali i żeby dobrze się kojarzyć.

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK – rarytas

Wygląda jak czupurny kogucik. Taki, który chce działać mocniej, niż może. Raczej nie sądzę, że Michał Kołodziejczak rozbije bank i dostanie się do Sejmu, a tam będzie odgrywał ważną rolę. Myślę, że czeka go dłuższa droga. I niech tak będzie!

Życzę mu sukcesów, ale nie w Sejmie, lecz poza nim. Polska stała się bowiem takim krajem, w którym władza systematycznie zabiera ludziom kolejne instytucje. I możliwości bycia sobą. Rząd wie lepiej, czego najbardziej ludziom potrzeba, media rządowe suflują, co mamy wiedzieć i myśleć, w kościołach temu przytakują i nawet organizacje pozarządowe są coraz bardziej rządowe.

Dlatego taki buntownik, trybun, wykrzykujący, co ludzi boli, to rarytas! Chuchajmy więc na niego i dmuchajmy, niech demonstruje i wymusza. Bo jak trafi gdzieś za biurko, to zepsuje się nam w pół roku.

NEO-NÓWKA I ROMAN ŻUREK – rozbili bank

Co to był dla nich za rok! Ich skecz „Wigilia” okazał się najczęściej oglądanym niemuzycznym materiałem na YouTube. A bilety na ich programy wyprzedawały się błyskawicznie i do spodu.

Co ciekawe, poza sceną Neo-Nówka to żadne śmieszki, ale osoby zasadnicze. Roman Żurek, założyciel kabaretu, gdy pytano go o rok 2022, odparł, że najlepiej wspomina występ na festiwalu Jurka Owsiaka. I tłumaczył to tak: „Chyba po raz pierwszy poczuliśmy, że nie jesteśmy traktowani jak żartownisie, którzy opowiadają śmieszne historie, ale jak ludzie, którzy uczestniczą w dyskursie publicznym, zabierają głos w rozmowie o ważnych dla Polski sprawach”. A potem rzucił marzenie, żeby Polacy „przestali się naparzać”.

Takich czasów dożyliśmy, że kabareciarze troszczą się, żeby było poważnie, a ci, co powinni być poważni – robią nam kabaret.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

NIE CZEKAJ!

Kup roczną
e-prenumeratę **PRZEGLĄDU**,
nim skończy się promocja!

TERAZ TYLKO 100 ZŁ ZA ROK CZYTANIA

- Przy zakupie e-book „Modzelewski. Buntownik” **GRATIS**
- Szybciej i taniej niż w wersji papierowej
- Co sobota nowe e-wydanie dostępne na stronie

Kup w promocji na sklep.tygodnikprzeglad.pl

Pamiętaj o bliskich
i kliknij opcję
KUP NA PREZENT



KOŚCIÓŁ NA ROZDROŻU

Strategia na przeczekanie przynosi tylko straty. Dlatego Franciszek mógłby zrobić to, co daje Kościołowi siłę – zwołać nowy sobór. Najlepiej poza Watykanem

Kazimierz Bem,
Jarosław Makowski

1.

Kościół katolicki znajduje się w głębokim kryzysie. Widać to gołym okiem. Paradoks polega na tym, że obecny kryzys jest owocem dwóch wielkich, jak twierdzą publicyści katoliccy, pontyfikatów: Jana Pawła II i Benedykta XVI. To papież Wojtyła i papież Ratzinger przez ponad 30 lat trzymali stery Kościoła. Ten pierwszy nie tylko kolejnymi encyklikami definiował nauczanie kościelne na temat etyki seksualnej, prymatu papieskiego czy ekumenizmu, ale też zaraz po śmierci został wyniesiony na ołtarze. Ten drugi stał przez ponad 20 lat u boku polskiego papieża jako strażnik doktryny, kierując Kongregacją Nauki Wiary i siejąc postrach wśród liberalnych teologów, a po śmierci Wojtyły został papieżem, by kontynuować wspólne dzieło. Tyle że Jan Paweł II i Benedykt XVI zostawili Kościół w opłakanym stanie – przede wszystkim dlatego, że na światło dzienne zaczęły wychodzić skandale pedofilskie z udziałem duchownych, które przez długi czas udawało się Kościołowi trzymać w tajemnicy przed światem. I wiernymi.

Papież Benedykt, ogłaszając abdykację, wstrząsnął Kościołem. Był rok 2013. Kościół potrzebował nowego papieża, gdyż Joseph Ratzinger stał się zakładnikiem i ofiarą watykańskich koterii. Kardynałowie zebrani na konklawe wskazali argentyńskiego kardynała Jorge Maria Bergoglia. Papieża z dalekiego kraju. Ten rubaszny i skromny dostojnik na chwilę pozwolił Kościołowi odetchnąć. Od nowego biskupa Rzymu biła świeżość

związana z jego prostotą, otwartym stylem papieżstwa i dużą dawką zdrowego antyklerykalizmu. Ale to za mało, by powiedzieć, że Kościół przeżył kryzys. Dziś pontyfikat papieża Franciszka przypomina jazdę na jałowym biegu – nie została rozwiązana żadna z palących spraw, przed którymi stanął, od wyczyszczenia stajni Augiasza, jaką jest kuria rzymska, po spory teologiczne, choćby kwestię dopuszczenia żonatych mężczyzn do sprawowania sakramentu eucharystii. Cóż zatem musiałby zrobić Kościół katolicki, by przezwyciężyć kryzys, w którym tkwi od kilku lat?

2.

Potrzebny jest odważny gest. Taki jak ogłoszenie przez Benedykta XVI odejścia na zasłużoną emeryturę. Albo, jeszcze lepiej, taki, na jaki zdobył się Jan XXIII, gdy zwołał Sobór Watykański II, by przewietrzyć zatęchłe kościelne korytarze. Papież Franciszek znajduje się w analogicznej sytuacji – strategia na przeczekanie kłopotów przynosi tylko straty i pogłębia frustrację wiernych. Dlatego ten stary papież mógłby zrobić to, co daje Kościołowi siłę – zwołać nowy sobór. I najlepiej, gdyby zrobił to poza Watykanem. By pokazać, że życie Kościoła, prawdziwe życie, które zajmuje wiernych, toczy się poza murami Watykanu.

Zwołanie nowego soboru byłoby właśnie odważnym gestem. Zebraniem najmądrzejszych i najodważniejszych ludzi Kościoła w jednym miejscu, by wspólnie zastanowić się nad kondycją katolicyzmu. By razem, patrząc sobie w oczy, wypracować drogi przezwyciężenia kryzysu kościelnego. By wreszcie pomyśleć, jak interpretować katolickie nauczanie,

aby nie przypominało ono księgi zakazów z minionego wieku. A jakimi kwestiami musiałby lub powinien się zająć nowy sobór, gdyby papież Franciszek postanowił wstrząsnąć raz jeszcze swoim domem – Kościołem rzymskokatolickim?

Po pierwsze, reforma kurii rzymskiej. Kuria nie może, jak do tej pory, być źródłem problemów – powinna efektywnie je rozwiązywać. Franciszek przyglądał się przez rok działalności kurii, która przyczyniła się do podważenia wiarygodności Kościoła jako instytucji. I katolicyzmu w ogóle, tuszując skandale pedofilskie. W grudniu 2014 r. wygłosił przemówienie do kardynałów i urzędników watykańskiej administracji. Przekaz był jasny: kuria w obecnym kształcie nie pomaga papieżowi w zarządzaniu Kościołem. Przeciwnie, jest powodem kłopotów. Nim jednak zaczniemy jej reformę, trzeba sobie bez ogródek powiedzieć, co szwankuje.

Franciszek zdiagnozował 15 chorób, na które zapadła watykańska administracja: choroba materializmu, choroba rywalizacji i próżnej chwały, choroba gadulstwa, szemrania i plotkarstwa etc. Przemówienie odbiło się echem, bo papież zerwał z niepisany kościelny dogmat, wpajany skutecznie księżom i wiernym. Brzmi on: „Kościół jest jak matka, a matki się nie krytykuje”. Franciszek odrzuca ten moralny szantaż i daje jasno do zrozumienia: jeśli widzisz zło, także w Kościele, i nie reagujesz, stajesz się jego współsprawcą. W Kościele tylko nieliczni są winni, ale wszyscy są odpowiedzialni. Papież Bergoglio zgodziłby się więc z legendarnym redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego” Jerzym Turowiczem, który powtarzał:



Kard. Stanisław Dziwisz i abp Marek Jędraszewski są uosobieniem problemów Kościoła.
Nz. między nimi nuncjusz apostolski abp Salvatore Pennacchio. Kraków, 28 stycznia 2017 r.

„Krytyka tego, co złe w Kościele, nie jest atakiem na Kościół, lecz służbą Kościołowi. Jej celem jest ukazanie, że misją Kościoła jest niesienie światła Ewangelii”. Krótko: jeśli kochasz Kościół, to również go krytykujesz. Dlatego kuria musi przestać być miejscem korporacyjnej solidarności i przerodzić się w ośrodek sprawnie zarządzający kościelnymi kryzysami – od moralnych poczynając, a na finansowych kończąc. Do tej pory reforma kurii nie udała się ani Janowi Pawłowi II, ani Benedyktowi XVI, ani Franciszkowi.

Po drugie, wiarygodność, głupcze! Do masowych nadużyć seksualnych księży wobec dzieci dochodziło w tych krajach, gdzie Kościół miał nie tylko silną pozycję, ale także, jak we Włoszech czy Irlandii, sprawował kontrolę nad placówkami edukacyjnymi, wychowawczymi i opiekuńczymi. Zazwyczaj w takich sytuacjach Kościół znajdował się poza kontrolą państwa, co dodatkowo dawało sprawcom poczucie, że są bezkarni i mogą wykorzystywać seksualnie wychowanków i podopiecznych albo znęcać się nad nimi psychicznie. To pokazuje, że państwo nie może rezygnować z roli kontrolnej i nadzorczej. I biskupi powinni

– dla dobra katolicyzmu – przyjąć to za dobrą monetę, a nie odbierać jako walkę z Kościołem.

Tym bardziej że Kościół ma problem instytucjonalny. Dostrzegł to zresztą niemiecki biskup Heiner Wilmer, który, widząc tuszowanie czynów przestępców seksualnych w koloratkach, wyznał: „Dawniej mawiano, że w Kościele są poje-

walczyć z pedofilią, jeśli chce się pozbyć owego ciężkiego brzemienia, musi na serio myśleć o reformie swoich struktur, formacji kandydatów do kapłaństwa czy systemie kontroli placówek prowadzonych przez zakony czy diecezje. Ale znów: by zniszczyć kościelne struktury zła, trzeba na nowo przemyśleć samą ideę świętości Kościoła.

Jan Paweł II i Benedykt XVI zostawili Kościół w optakowanym stanie – głównie dlatego, że na światło dzienne zaczęły wychodzić skandale pedofilskie z udziałem duchownych.

dynczy grzeszni ludzie, ale Kościół jako taki jest czysty i bez skazy. Musimy pożegnać się z takim przekonaniem i przyjąć do wiadomości, że w Kościele jako wspólnocie istnieją struktury zła”. Kultura milczenia wobec zła, z którą na każdym kroku się stykamy, kultura zamiatania brudów pod dywan to właśnie owa „struktura zła”, jaką stworzył Kościół, by przez długie lata móc skutecznie ukrywać przestępstwa seksualne księży, gdyż niegdyś uznawano, że dobre imię tej instytucji jest ważniejsze niż cierpienie ofiar. Jeśli Kościół chce naprawę

Po trzecie, deficyt księży. W Kościele katolickim brakuje księży. Nawet w takim kraju jak Polska, która pod względem powołań miała być zieloną wyspą, młodzi ludzie nie garną się dziś do wstępowania w progi seminariów. Ba, nie tylko polski ksiądz nie będzie towarem eksportowym – polski Kościół sam będzie potrzebował nowych kapłanów, jeśli ma być sprawowana eucharystia. A ta – jak wiemy – jest sednem Kościoła. Jan Paweł II i Benedykt XVI od lat nawoływali o modlitwy o nowe powołania – bez skutku. Być może Bóg chce dać ▶

► do zrozumienia, że należy ich szukać wśród innych grup niż żyjący w celibacie mężczyźni. Dlatego nowy sobór na serio musi zająć się dopuszczeniem do sprawowania sakramentów starszych, żonatych mężczyzn, tzw. *viri probati*. Zresztą już w dokumencie przygotowującym Synod dla Amazonii mowa była o udzielaniu święceń żonatym mężczyznom. Żonaci księża od wieków funkcjonują w obrządkach wschodnich i od prawie pół wieku święci się niektórzy

emocji – ale żadnych nowych realnych ruchów nie zrobił. Nowy sobór będzie musiał tym się zająć, bo etyka seksualna rodem z XIX w., zaprzeczająca wiedzy medycznej, staje się nie nauczaniem, ale parodią nauczania.

Po piąte, miejsce kobiety w Kościele. Jak doskonale wiemy, jedyną kobietą, którą Jan Paweł II i Benedykt XVI tolerowali przy ołtarzu, była Matka Boska. Papież Polak miał tak egzystencjalne problemy z wizją kobiet jako duchownych, że prawie ogłosił zakaz ich

status quo z czasów Jana Pawła II i Benedykta XVI. Kościół ma być wspólnotą wiernych – a nie skansenem idei, który odwiedzają turyści.

3.

To rzecz jasna nie wszystkie problemy, z jakimi zmaga się dzisiejszy Kościół – raczej katalog pierwszych z brzegu spraw, które domagają się szybkiego przemyślenia i zmiany podejścia duszpasterskiego. Czy zwołanie nowego soboru sprawiłoby, że Kościół odzyskałby dawny powab i wigor?

Paradoks polega na tym, że samo zwołanie soboru wcale nie daje takich gwarancji. Odważne decyzje, które zapadały na Soborze Watykańskim II, też nie wystarczyły. Dlaczego? Bo *dozobek Vaticanum secundum* trafił na Jana Pawła II i Benedykta XVI. To oni mieli wprowadzić postanowienia soborowe. Sęk w tym, że zarówno Wojtyła, jak i Ratzinger należeli do tych, którzy widzieli w soborze źródło problemów Kościoła, a nie ich rozwiązanie. Nadworny teolog Jana Pawła II, kard. Ratzinger, mówił, że sobór proponował „hermeneutykę zerwania” z tradycją, którą on musiał powstrzymać. W tym sensie pontyfikaty papieża Polaka i jego następcy, papieża Niemca, zablokowały w Kościele zmiany, które mogły mu dać rzeczywistą szansę na pojednanie się z nowoczesnością.

Najważniejsza jest reforma kurii rzymskiej. Już w 2014 r. Franciszek stwierdził, że kuria nie pomaga w zarządzaniu Kościołem. Przeciwnie, jest źródłem kłopotów.

byłych duchownych protestanckich, którzy przeszli na katolicyzm. Temat nie jest więc nowy i nie brakuje lokalnego, pozytywnego doświadczenia. Brakuje natomiast odwagi, by podjąć decyzję i odwołać praktykę ze średniowiecza. Papież Franciszek znowu zrobił unik i wezwał do dalszych modlitw o nowe powołania. Nic nie wskazuje, by Bóg zmienił zdanie, bo zmienił się papież.

Po czwarte, anachroniczna etyka seksualna. Jeszcze jako kardynał Wojtyła doradził Pawłowi VI, wbrew opinii większości teologów, by usztywnił etykę seksualną, m.in. zakazując stosowania antykoncepcji. Encyklika *Humanae vitae* z 1968 r. okazała się katastrofą teologiczną, wizerunkową i duszpasterską. Pomimo zaklęć Jana Pawła II i Benedykta XVI większość katolików ją zignorowała; w czasach pandemii AIDS okazała się ona wręcz śmiertelna w skutkach. Również podejście do kwestii rozwodów i seksualności okazywało się zawracaniem Tybru kijem – w dodatku o niezwykle słabych podstawach teologicznych. Ostatnie lata pontyfikatu Jana Pawła II i czas Benedykta XVI okazały się okresem zaciętej walki o zakaz aborcji (poza Polską i Salvadorem przegranej z kretesem) oraz ogromnej i narastającej homofobii. Przypomnijmy, że obaj papieże próbowali zrzucić winę za pedofilię duchownych na księży gejów. Franciszek zmienił kurs o tyle, że stara się obu tych tematów nie poruszać z taką częstotliwością i natężeniem

wyświęcania jako nieomylny. Notabene znowu jego zdanie zderzało się z opinią większości katolickich teologów. Z kolei Benedykt XVI zastąpił z wysłania wizytacji, która miała poskromić „zbyt postępowe” amerykańskie zakonnice. Niezależnie od powodów tego podejścia do kobiet i ich służby w Kościele, sytuacja, w której w XXI w. decyzje w tej instytucji podejmują wyłącznie mężczyźni celibatariusze, jest kuriozalna, a jej podstawy teologiczne są jeszcze wątlejsze niż etyki seksualnej. Papież Franciszek poczynił jakieś gesty wobec kobiet – oficjalnie mogą czytać Pismo Święte podczas mszy – ale znowu to bardziej pozory zmian,

Kościół ma być wspólnotą wiernych, a nie skansenem idei, który odwiedzają turyści.

niespecjalnie posuwające sprawy do przodu. W wielu diecezjach na całym świecie kobiety robiły to od lat – po prostu życie weryfikowało XIX-wieczne wyobrażenia papieża Wojtyły i Ratzingera. Nowy sobór będzie musiał z tym zjawiskiem się zmierzyć – i to odważnie.

Kościół protestancki i starokatolickie ordynują kobiety od co najmniej pół wieku (a niektóre od 1853 r.!). Dyskusja o roli kobiet musi też objąć rolę świeckich. Po skandalach pedofilskich i ich kryciu przez męski kler, co często ujawniane było właśnie przez kobiety i świeckich, trudno utrzymywać

Dlatego nowy sobór byłby zaledwie początkiem początku zmian. Potem, by Kościół katolicki stał się przyjaznym dla ludzi miejscem, musiałby pojawić się papież, który te odważne soborowe zmiany chciałby konsekwentnie przekuć w praktyki i strategię duszpasterskie. Czy personel naziemny, który dziś kieruje Kościołem, stać na taką rewolucję? Tego nie wiemy. Ale wiemy, że Ducha Świętego stać. Tym bardziej że wieje on, kędy chce. Dobrze, by zaskoczył Kościół. Jeszcze lepiej, by Kościół mu zaufał.

Kazimierz Bem,
Jarosław Makowski

Z Galicji



Jan Widacki

Karnawał polski

Noc sylwestrowa, gdy żegna się stary rok, a wita nowy, rozpoczyna karnawał. Będzie on trwał aż do Środy Popielcowej, od której rozpocznie się Wielki Post. Ten podział roku wynika z kalendarza chrześcijańskiego. Przeciętny Kowalski nie bardzo zdaje sobie z tego sprawę. Wie, że w sylwestra powinien się odbyć bal, a okres zabaw kończy się zapustami. I tak w tłusty czwartek obżera się pączkami, a w kolejnym tygodniu we wtorek idzie z żoną „na śledziówkę” do znajomych albo na wódkę z kolegami. Potem jest Popielec. Po nim zaś 40-dniowy Wielki Post i wreszcie Wielkanoc z całą masą tradycyjnych obowiązków, odwiedzin, obżerania się... Święta poprzedzone są zresztą chodzeniem na „jajeczko”, podobnie jak Boże Narodzenie poprzedzone jest spotkaniami, nazywanymi niewinnie i dla zmylenia rodziny opłatkowymi.

Ten rytm dla Kowalskiego wynika bardziej z tradycji i przyzwyczajenia niż z kalendarza liturgicznego i jest coraz częściej postrzegany jako ciąg laickich zwyczajów, których przyczyny ani symboliki właściwie się nie zna. Tak to jest. Czasy się zmieniają, laicyzacja postępuje. Dawniej święta, zarówno Bożego Narodzenia, jak i Wielkanocy, poprzedzone były okresem pisania dziesiątek kartek z życzeniami, wysyłanych do rodziny i znajomych. Dziś zwyczaj wysyłania kartek, tak jak w ogóle zwyczaj pisania listów, praktycznie zanikł. Listy i kartki zastąpione zostały przez mejle, SMS-y i MMS-y. Ani to dobrze, ani źle. Po prostu inaczej.

Dziadek Kowalskiego, choć przykładnie chodził do kościoła i dostrzegał (a nawet czasem przeżywał) związek obyczajów z religią, również najczęściej nie był świadom, że znaczna część tych obrzędów – jak sądził, chrześcijańskich – ma pogański rodowód. Nawet Matka Boska przejęła funkcje pogańskich boginek i jest czczona jako Siewna, Śnieżna, Zielna... Żegnanie staro i witanie nowego roku też jest starym pogańskim obyczajem.

Wróćmy do karnawału. Z literatury wiemy, jak nasi (?) przodkowie go spędzali. Kuligi, polowania, bale... Aby jednak ktoś miał przyjemność jazdy kuligiem, ktoś inny musiał zaprzęgać konie, powozić, a wcześniej i później końmi się opiekować. Aby ktoś sobie radośnie do zwierzyny postrzelał, ktoś musiał mu ją wystawić, brnąć w śniegu w nagonce. Ktoś musiał gotować kolację dla myśliwych, gdy już po udanym polowaniu i policzeniu ukatrupionych zwierząt wrócili do domu. Podać do stołu, pozmywać brudne naczynia. A bale? Często

się bawiła. Wytworne stroje, na początek polonez, nad ranem mazur. Ale ktoś musiał do tańca przygrywać, ktoś przygotowywał kolację i podkurek, podawał do stołu, zmywał, sprzątał. Gdy uczciwie spojrzymy na historię, to więcej było niewolniczej wręcz pracy niż emocji polowań, szaleństwa kuligów czy balów...

Ale dziś niemal wszyscy przyznają się jeśli nie do arystokratycznego, to przynajmniej do ziemiańskiego pochodzenia. Te bale, kuligi, polowania przypisują swoim przodkom. Tak postrzegają polską tradycję.

Nie ma potomków tych, co na balach jedynie przygrywali jaśniepaństwu, gotowali bigos, piekli dzika, myli naczynia. Nie ma potomków tych, co przemarznięci szli w nagonce, aby jaśnie pan mógł sobie z dubeltówki do zwierzaka strzelić, nie ma tych, co karmili i czyścili konie, wyrzucali po nich gnój, powozili na kuligach. Są tylko potomkowie polskiej szlachty, husarzy, powstańców, a ostatnio zapewne także „żołnierzy wyklętych”,

Gdy uczciwie spojrzymy na historię, to więcej było niewolniczej wręcz pracy niż emocji polowań, szaleństwa kuligów czy balów.

ogniwa pośredniego między niegdysiejszym husarzem a dzisiejszym kibolem. Nawet ci, którzy w ostatnich dziesięcioleciach, czasem uczciwie, czasem niekoniecznie, dorobili się wielkich pieniędzy, przyznają się do tej szlacheckiej tradycji.

A tak naprawdę, choć już prawie ćwierć XXI w. minęło, wciąż jesteśmy społeczeństwem o głęboko zakodowanej klasowości, z wszystkimi wynikającymi z tego kompleksami. Często bojąc się, że zostaniemy zaliczeni do „chamów”, tym chętniej mówimy o ziemiańskim pochodzeniu. Nie cenimy sobie uczciwego, pracę i talentem wywalzonego awansu społecznego. Niechętnie przyznajemy się do dziadków chłopów lub drobnomieszczan. Stąd zakłamaną tradycją. Bale, kuligi, polowania, dwory i pałace... Wyparowały z niej zaś kurne chaty, boscie mimo zimy dzieci, jednoizbowe mieszkania robotnicze bez wody i kanalizacji.

W Ameryce milioner często przyznaje się do pradziadka pucybuta i jest z niego dumny. U nas odwrotnie. Człowiek, który zapracował sobie na status pucybuta, chce być dumny z pozycji pradziadka. Z wielkim uporem niczego nie chcemy się z historii nauczyć. ■

Drugie życie produktów

Polska z second-handu, czyli używane nie hańbi

Kornel Wawrzyniak

– O śmieciarce usłyszałam już jakiś czas temu, ale pierwszy raz skorzystałam z niej i pozbyłam się rzeczy, kiedy musiałam się przeprowadzić. Z dużego, mieszczącego niemal wszystko mieszkania do mniejszego – i bardzo chciałam tego nowego nie zagrazić. Przejrzałam więc rzeczy i te w dobrym stanie wrzuciłam na śmieciarkę – od gazet, książek, przez rośliny, których nie lubiłam, po biżuterię i lampki choinkowe. Ale też np. herbaty, których nie piłam, ubrania, których nie lubiłam, czy mundur harcerski, który już zwyczajnie nie był mi potrzebny – opowiada bardzo aktywna na facebookowej grupie „Śmieciarka jedzie” Martyna.

Wymiana rzeczy i oddawanie stały się trendem, którego wcale nie wywołała wojna ani kryzys ekonomiczny. Od dekady można zauważyć, że zmieniło się społeczne myślenie o używanych przedmiotach, które często dostają nie tylko drugie, ale nawet trzecie czy czwarte życie. Znudził nas rozpędzony pod koniec lat 90. konsumpcjonizm, który kusił, aby w kółko zmieniać i posiadać nowe. Wreszcie zaczęliśmy się wymieniać,

Wreszcie zaczęliśmy się wymieniać, zamiast wyrzucać.

zamiast wyrzucać. Bardzo pomaga w tym internet, który działa jak tablica ogłoszeń w centrum miasta, tylko że sporo większym zasięgiem. Dzięki temu można dotrzeć do różnych zaskakujących przedmiotów. Echem odbiła się sprawa odnalezienia na śmietniku prywatnego archiwum zmarłej trzy lata temu Szarloty Paweł. To jedna z najważniejszych twórczyń polskiego komiksu, której prace ostatecznie uratowali z kontenera fani



Jadłodzielnia przy ulicy Wilczej w Warszawie.

artystki. Zdarza się też, że ktoś szuka w okolicy chętnych na pół pizzy, bo nie dał rady zjeść całej.

Meble ze śmietnika

Grupa facebookowa „Śmieciarka jedzie” zasłynęła jako miejsce, w którym internauci wskazują sobie lokalizacje śmietników, gdzie ktoś właśnie

zostawił „dobre meble”. Użytkownicy grupy podają adres i robią zdjęcie. Najczęściej towarzyszy temu dopisek: „Tylko przechodziłam. Nie przetrzymam”. A wtedy kto pierwszy, ten lepszy. Łowców okazji nie brakuje. Wielu użytkowników grupy, którzy pozbywają się rzeczy, wybiera z komentarzy najbardziej chwytającą za serce historię. – W grudniu dodałam na grupę post, w którym oferowałam paczkę świąteczną dla dziecka, raczej

chłopca. Nazbierałyśmy z partnerką punktów na stacji benzynowej, dorzuciłyśmy pięć dych i wyszło z tego zdalnie sterowane autko. Miało zostać dla jej bratanka, ale okazało się, że chłopiec już ma. I wtedy szybka myśl w głowie: na śmieciarkę, na prezent, podzielić się. Dorzucić coś do tego, a nie obrastać w zbędne przedmioty. Rzeczywiście dać komuś radość. Wystawiłam ogłoszenie, że mam do oddania autko i mogę dokupić kilka rzeczy, napisałam do przyjaciółek, czy chcą się włączyć. Dostałam kilkadziesiąt wiadomości, wybrałam jedną z pierwszych – córeczka pewnej pani jest w grupie w przedszkolu z chłopcem, który „niewiele ma”. Rodzice innych dzieci zadbali o paczkę dla niego w kwestii ubrań, my dorzuciłyśmy zabawki: autko, ostatecznie grę planszową i zestaw Zingsów – opowiada Martyna.

Dziś używane ubrania czy meble ze śmietnika nie są powodem do wstydu. Można powiedzieć, że

to właściwie szpan. Mileniałsi, nazywani czasem pokoleniem IKEA, znudzili się wszędobylskim, nijakim stylem marki i zaczęli szukać alternatyw. – Kiedy wyprowadzałem się z wynajmowanego mieszkania, które szło na sprzedaż, usłyszałem od właścicielki, że nawet by dopłaciła, byleby ktoś wyniósł te „peerelowskie maszkarony”. Zapytałem, co mogę w takim razie zabrać. Tym sposobem dostałem trzyskrzydłową szafę, komodę i piękną biblioteczkę. Wszystko z litego drewna i za darmo – opowiada Adam pracujący w IT. Teraz zaaranżowane przez informatyka wnętrze zdecydowanie wyróżnia się na tle kwadratowo-białych, urządzonych w meblowych sieciówkach mieszkań.

Szwedzki gigant zauważył jednak ten trend. Okazuje się, że popularny w latach 60. i 70. hotel Chierowskiego stał się na powrót hitem, więc IKEA zaczęła sprzedawać inspirowane nim siedzisko za 899 zł. A jak to bywa w kapitalizmie, każda idea może zostać zaprzęgnięta do kreowania zysku. Szczególnie jeśli nazywa się nostalgią.

Idąc tropem dizajnu sprzed lat, trafiamy na sklep internetowy Patyna.pl. Twórcy portalu piszą o sobie: „Patyna powstała z miłości do pięknych przedmiotów i fascynacji ich historiami. Pragnęliśmy stworzyć miejsce, w którym wzornictwo vintage zostanie wyeksponowane w wyjątkowy, niespotykany dotąd sposób. Projekt powstał z potrzeby serca. Jesteśmy miłośnikami przedmiotów vintage, szczególnie perełek z epoki PRL”. W ofercie są meble, które można określić mianem kolekcjonerskich. Ceny niektórych sięgają nawet kilkunastu tysięcy złotych. Wszystko zależy oczywiście od projektanta i stanu. Nie można więc się dziwić, że ludzie pozbywający się starych mebli zaczęli nimi handlować, licząc na zgarnięcie kilku stówek.

Sposobów na pozbycie się z domu niechcianych rzeczy jest kilka. Można ogłaszać się na specjalnych grupach, takich jak wspomniana „Śmieciarka jedzie” na Facebooku. Do wymiany rzeczy służy też popularny OLX i inne portale z ogłoszeniami. Zależnie od regionu panują jednak różne

zwyczaje. Pochodzący z niewielkiej miejscowości pod Warszawą Marcin, który od lat mieszka w stolicy, opowiada o ostatniej przygodzie z OLX: – Latem wystawiłem w rodzinnym mieście sprawną pralkę, którą chciałem oddać za darmo, bo była stara i farba z niej zesła. Odpowiadano, że pralka jest w pełni sprawna. Ostatecznie nie udało mi się też oddać sprzętu za darmo – dostałem w zamian trzy kobiałki truskawek.

Używana moda

W dobie ekspansji wielkich sieci odzieżowych są ubrania, które konsumenci zakładają raz albo wcale, bo kupują je w szale wyprzedzaży. Takie jednorazówki, jak również peretki sprzed lat, sprzedaje się na odpowiednich portalach. Jednak osoby,

określane mianem vintage, słowem zapożyczonym z języka angielskiego, które pierwotnie było używane w odniesieniu do udanych roczników wina. W tym wypadku określa dobrej jakości materiały czy bycie częścią legendarnej kolekcji. Oczywiście noszenie takich używanych ubrań jest zdecydowanie bardziej ekologiczne niż zakupy w popularnych sieciach. Należy pamiętać, że ilość wody niezbędnej w procesie produkcji bawełny wynosi nawet 20 tys. litrów na 1 kg surowca. Uprawa bawełny zajmuje trzecie miejsce, jeśli chodzi o zapotrzebowanie na wodę – po pszenicy i ryżu. W Polsce zaś co roku wyrzuca się ponad 2,5 mln ton odpadów tekstylnych. Specjaliści przyznają, że materiały, z których robione są ubrania, bardzo straciły na jakości. Dlatego często stroje wyprodukowane w latach 80., a nawet 70., są po kilkuset praniach w lepszym stanie niż współczesne po kilku.

W badaniu CBOS na temat stosunku Polaków do używanego aż 73% respondentów deklaruje, że korzysta z odzieży i obuwia pochodzących z drugiej ręki. Odzież używana stano-

W internecie kwitnie wymiana nietrafionych prezentów i rzeczy użytych raz, które się nie sprawdziły.

które nie ubierają się w stroje kolekcjonerskie, albo się wymieniają ubraniami, albo oddają je czy to do kontenerów, czy do fundacji zajmujących się redystrybucją takich dóbr. – Korzystam regularnie z kontenerów na ubrania. Nawet jeśli idą potem do lumpeksów, nie ma to dla mnie znaczenia, najważniejsze, że może jeszcze „pożyją”. O to mi głównie chodzi, żeby nie traktować rzeczy jako jednorazowych, na chwilę. Żeby ograniczyć własną produkcję śmieci. Żeby mieć rzeczy tylko niezbędne albo te ważne czy z jakiegoś powodu wyjątkowe – podkreśla 30-letnia Agnieszka, która regularnie korzysta z różnych grup wymiany przedmiotów.

W świecie tekstyliów niestabnącą popularnością cieszy się portal Vinted, gdzie można znaleźć masę dobrej jakości ubrań, które nierzadko mają po 20-30 lat. Często są one

wi 11% sprzedaży wszystkich ubrań w Polsce. Według obliczeń Euromonitor International wykonanych dla „Rzeczpospolitej” w 2016 r. przeznaczyliśmy na ubrania ok. 960 zł na osobę, czyli łącznie prawie 37 mld zł. Z tej kwoty mniej więcej 6 mld zł Polki i Polacy wydali w ciucholandach.

W używanych ubraniach leżą ogromne pieniądze. Wystarczy prześledzić drogę tych ciuchów na półki second-handów. To, co trafi do kontenerów Polskiego Czerwonego Krzyża, wywożone jest do Włocławka w Skarżysku-Kamiennie, czyli największej sortowni odzieży używanej w Polsce. Powstały w latach 90. biznes sprawił, że jego założyciel Leszek Wojteczek jest dziś milionerem. Proces selekcji jest prosty. Najlepsze ubrania trafiają do second-handów współpracujących z Włocławkiem, ubrania z drobnymi skazami jadą ▶

► do Afryki, gdzie również handluje się nimi. Te bardziej zniszczone jadą zaś do Indii lub Turcji, gdzie robi się z nich dywany. Czytelnicy mogą się zastanawiać: no dobra, a co z PCK, w końcu to jego kontenery? Wtórpol ma z nim umowę handlową, na podstawie której PCK dostaje pieniądze na swoje cele statutowe, firma Wojtecza ma zaś surowiec do obrotu.

Wyrzucanie jedzenia

W internecie kwitnie wymiana nietrafionych prezentów i rzeczy użytych raz, które się nie sprawdziły. Wiele osób przestało też krępować się, że znalazło dobrą rzecz w koszu. – Zgarnęłam ostatnio ze śmietnika piękną doniczkę. Jest jedynie odrobinę obita, ale wystarczy polakierować albo dobrze postawić i nie będzie widać. Chyba nawet nie była używana – w sklepie zaptaciłabym za

się jakieś 2 mln ton pożywienia. Dziś według badań przeprowadzonych przez resort rolnictwa wyrzucamy 3 mln ton. I chociaż widać, że zmieniają się nawyki dotyczące marnowania jedzenia, to tempo przemian nie nadąża za konsumpcją.

Zyskującym popularność sposobem na niemarnowanie jedzenia są jadalodzielnie, czyli punkty służące do nieodpłatnej wymiany żywności pomiędzy użytkownikami. W telegraficznym skrócie działa to tak: bierzemy z własnej lodówki coś, co jest jeszcze dobre, ale wiemy, że już tego nie zjemy, i zostawiamy w lodówce jadalodzielni. Przy okazji możemy z tej lodówki zabrać coś innego dla siebie, ale nie musimy. Pierwsze tego typu miejsce otwarto w 2016 r. w Warszawie. Obecnie działa ich ok. 60 w całej Polsce. W 2019 r. o tym, jak się okazuje, typowo polskim fenomenie informowała telewizja

przegrzebywanie śmietników. Najczęściej są to kontenery przy supermarketach, do których trafiają zdane jeszcze do spożycia produkty. Ich wyrzucanie powodowane bywa przez wykreowane w mediach obrazy nierealistycznie pięknego jedzenia. Wystarczy przypomnieć, że ludzie biorą dojrzałe banany za zepsute, bo skórka brązowieje.

Zero marnowania

Ratowanie rzeczy i jedzenia wpisuje się w modną od kilku lat filozofię *zero waste*, co można przetłumaczyć jako: bez marnowania. Znamy to jednak od dekad tak samo jak hotel Chierowskiego. Pokolenie pamiętające wojnę, a potem pustki na półkach, starało się nic nie marnować. Zapomnieliśmy o tym jako społeczeństwo w latach 90., kiedy zachłystaliśmy się konsumpcjonizmem napędzanym przez wchodzący do Polski kapitalizm.

Że *zero waste* nie jest nowością, możemy wnosić z opowieści Marty: – Jestem nauczona z domu, żeby korzystać z używanych rzeczy. Zdarało mi się nosić ciuchy po starszej kuzynce, od małego chodziłam do biblioteki, więc używane książki to też dla mnie norma. Jednak prawdziwym piewcią używanego jest w mojej rodzinie dziadek, który, idąc wyrzucić śmieci, zawsze zwracał uwagę na to, co wyrzucali inni ludzie. I to potrafiło być złoto, np. dobrej jakości meble, a raz nawet prawdziwe futro w idealnym stanie. Mnie kiedyś wyszperała torebkę, maleńką, wyszywaną, w stylu lat 20. Konsultowałam ją ze znawczyniami mody tamtej epoki, to ręczna robota, chyba nawet posrebrzane elementy, coś takiego kosztuje teraz setki złotych. I ktoś to po prostu wyrzucił. Moja babcia ją zszyła, wyprała i teraz czeka u mnie na swój wielki dzień – dodaje.

Dziś przekonaliśmy się, że dziadkowie mieli rację – wracamy do węków i wytrzymałych, wielorazowych produktów. Szkoda, że zmarnowaliśmy kilka dekad, niszcząc planetę, zanim na to wpadliśmy.

W używanych ubraniach leżą ogromne pieniądze. Wystarczy prześledzić drogę ciuchów na półki second-handów.

taką przynajmniej 80 zł. Zgarnęłam jeszcze dzbanek, idealny do herbaty, taki, jakiego potrzebowałam – z mikroskopijnym dosłownie ubytkiem. Używam go codziennie – opowiada Ewa, która, jak sama o sobie mówi, stała się specjalistką w wyszukiwaniu niechcianych rzeczy, którym zazwyczaj nic nie dolega.

Według CBOS stosunek Polaków do rzeczy „z drugiej ręki” diametralnie się zmienił. Nie są już symbolem biedy, ale znakiem zaradności – w 2008 r. 69% respondentów twierdziło, że posługiwanie się używanym jest przejawem ubóstwa. W 2021 r. tego samego zdania było zaledwie 29% ankietowanych. Umocnił się też pogląd, że używanie używanego oznacza zachowanie ekologiczne.

Gorzej wygląda sytuacja z marnowaniem przez Polaków jedzenia. Stare poznańskie porzekadło „Lepiej zjeść i odchorować, niż miałyby się zmarnować” znane jest raczej z anegdot niż z prawdziwego życia. Jeszcze w 2017 r. według Federacji Polskich Banków Żywności w polskich domach rocznie marnowało

EuroNews. Warto zaznaczyć, że w okresie poświątecznym jadalodzielnie pękają w szwach. – Przyniesione jedzenie wyjątkowo szybko znika. A to oznacza, że jest sporo potrzebujących – mówił mediom Artur Pawełczyński, koordynator jadalodzielni stowarzyszenia Jaspis z Pruszkowa.

Powstają również firmy pośredniczące w obrocie jedzeniem, które miałyby się zmarnować. Jedną z najpopularniejszych jest producent aplikacji To Good To Go, w której można „ratować” jedzenie z restauracji. Aplikacja łączy klientów z restauracjami i sklepami, które posiadają nadwyżki niesprzedanej żywności. Knapka robi paczkę z jedzeniem i wystawia ją do zgarnięcia za ułamek regularnej ceny. To sytuacja, w której każdy wygrywa – restauracja nie traci, a klient zjada za jedną trzecią ceny dobry produkt.

Bardziej radykalną formą ratowania jedzenia jest przejście na freeganizm. To ruch w kontrze do konsumpcjonistycznego stylu życia, mający zmniejszać ilości odpadów, i to w sensie dosłownym. Freeganie skrzykują się bowiem na wspólne

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

A może optymizm?

Mieszkająca z nami w mym dzieciństwie ciocia Stefa lubiła w czas świąteczny powtarzać: „Na Boże Narodzenie przybywa dnia na kurze stąpienie” albo: „Na Nowy Rok przybywa dnia na barani skok”. Znow minął Nowy Rok i dni robią się dłuższe. Czy zatem dyżurny pesymista może sobie pozwolić na szczyptę optymizmu?

Jeszcze przed paru laty było to nie do pomyślenia. Gdy w roku 2010 na Węgrzech zdobył władzę Viktor Orbán, gdy w roku 2015 dyktatorem Polski został Jarosław Kaczyński, gdy zaraz potem wybory w USA wygrał Donald Trump, a w roku 2018 w Brazylii poszedł w jego ślady Jair Bolsonaro – wydawało się, że świat stanął w obliczu wznoszącej się fali populistycznej prawicy. Tymczasem falę tę udało się (chwilowo?) powstrzymać. Wygrana sprzed dwóch lat Joeego Bidena i zaraz potem szturm zwolenników Trumpa na Kapitol pokazały z jednej strony zwycięstwo amerykańskiej demokracji, z drugiej jednak udowodniły, jak blisko byliśmy jej unicestwienia. Porażka trumpistów w zeszłorocznych wyborach do Senatu pozwala mieć nadzieję, że Ameryka zaczyna naprawdę łąpać równowagę.

Tymczasem w Brazylii wrócił do władzy lewicowiec Lula. Wybory, jak Biden, wygrał z niewielką przewagą, ale Bolsonaro, mimo widocznych wahań, nie zakwestionował werdyktu – najwyraźniej lekcja waszyngtońska została odrobiona. Można odetchnąć, bo obaj amerykańscy populiści, stojący na czele jednych z największych i najludniejszych państw świata, mogli radykalną prawicę rozsiać na wiele krajów. Przy czym Bolsonaro, popierając rabunkową eksploatację lasów Amazonii, mógł też spowodować nieodwracalne zmiany klimatu na Ziemi.

A w Europie? Tu zarodki optymizmu niweczy powstanie we Włoszech prawicowego rządu Giorgii Meloni. Trzeba się temu rządowi przyglądać, lecz na razie nie jest on jeszcze katastrofą, bo opowiada się nadal za NATO, Unią Europejską i wspólną walutą, nie zamierza też zmniejszać pomocy dla Ukrainy, co wciąż go sytuuje w głównym nurcie polityki naszego kontynentu. Natomiast wiosenną jaskółką może być zmiana władzy u sąsiada Włoch, w Słowenii: wybory przegrał tu Janez Janša, polityk bliski Orbánowi. A sam Orbán? Cóż, potrzebuje pieniędzy, więc w sporze z Unią Europejską zaczyna mięknąć. Czyżby się stał miękkiszkiem?

Nie dajmy się zwieść autokracie. Przed tysiącem z górą lat Węgrzy zniszczyli Słowian nad Balatonem, a ich

najazdy, docierające aż do Italii, były, jak niegdyś hordy Hunów, postrachem Europy. Dziś pokazują Europie zaciśniętą pięść – czyżby była tu jakaś ciągłość? Ale podobną pięść pokazują Europie dwa państwa słowiańskie: olbrzymia, prawosławna Rosja i niewielka, katolicka Polska. W sprawie Rosji nie powiem, jak Lech Kaczyński w Tbilisi, że pokazała „twarz, którą znamy od setek lat”. Powiem natomiast, że prowadzona przez nią wojna jest dramatem historycznej Rosji. Ale wyrzekłszy te słowa, ani na moment nie zapominam, kto tu jest napastnikiem, a kto ofiarą. Rosji, która rozpętała największy po II wojnie światowej konflikt zbrojny w Europie, można życzyć tylko jak najgorzej. I rzeczywiście, już teraz wojna trwa dziesięć miesięcy, a jej cele nie zostały osiągnięte. Czy jednak w ogóle jest możliwa do wygrania? Ale to tyle tylko optymizmu, jeżeli w ogóle jest to jakiś optymizm. Przed Ukrainą mroźna i ciemna zima, a rezerwy rosyjskie nie zostały wyczerpane.

Na Węgrzech Fidesz nie ma z kim przegrać, w Polsce PiS ma z kim jak najbardziej, ale w obu krajach oddanie władzy jest trudne do wyobrażenia.

Tymczasem w Polsce znow „Budapeszt w Warszawie”! Znow – bo śladem braci Węgrów nasz rząd też wywiesza białą flagę. Więc i Kaczyński stał się miękkiszkiem? Tu także nie dajmy się nabrać. Na Węgrzech Fidesz nie ma z kim przegrać, w Polsce PiS ma z kim jak najbardziej, ale w obu tych krajach oddanie władzy jest nadal trudne do wyobrażenia. Na Węgrzech dzieje się tak również dlatego, że wybory odbyły się dopiero co i przyniosły blamaż opozycji. W Polsce wybory za pasem, ale – tak jak na Węgrzech – wymontowano tu już tak wiele „bezpieczników demokracji”, że nawet wygrana opozycji byłaby możliwa do podważenia przez władze. Wojna Rosji z Ukrainą jest z obu stron grą o wszystko, ale – *toutes proportions gardées* – gra o wszystko toczy się też w Polsce. A jednak przesłanki do optymizmu są u nas bez porównania większe. Koalicja Obywatelska wyprzedzająca PiS, i to z tendencją wzrostową, wydaje się nową jakością. Gdyby jeszcze opozycja chciała się zjednoczyć...

Mimo to nie widać jeszcze powodu, by ta rubryka miała się nazywać „Refleksje optymisty”. Ale ciocia Stefa zdaje się do mnie mówić: „Nie martw się. Dni naprawdę są coraz dłuższe. Już wkrótce nadejdzie wiosna”.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl



Polska nie zbankrutowała

W rok 2023 wchodzimy z niższym poziomem zadłużenia niż w rok 2016, zanim wprowadzono program 500+ i inne świadczenia pieniężne

Jakub Dymek

Ze wszystkich klęsk i katastrof, jakie wrócono w minionym roku, jedna nie chciała się ziszczyć. Polska nie zbankrutowała, nie staliśmy się „drugą Grecją”, a budżet państwa nie zawalił się pod ciężarem długu publicznego. Wręcz odwrotnie. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Ministerstwo Finansów opublikowało informacje o stanie zadłużenia sektora finansów publicznych na koniec III kwartału 2022 r. Wynika z nich, że dług publiczny w relacji do PKB... nie tylko spadł względem lat pandemii, ale nawet jest niższy niż w roku 2015.

Nie, to nie pomyłka. Polskie zadłużenie wynosi dziś 50,3% rocznego PKB. W 2021 r., po dwóch latach pandemii, wskaźnik ten wynosił 53,8%, a w ostatnim roku rządów PO i Ewy Kopacz – 51,3%. W rok 2023 wchodzimy z niższym poziomem zadłużenia niż w rok 2016, zanim jeszcze wprowadzono program 500+ i inne świadczenia pieniężne. To bolesny szok dla wszystkich zwolenników tezy o nieuchronnym bankructwie

Polski – a było ich przecież wielu. Tymczasem pomimo dwóch lat pandemii, wojny za naszą granicą i zapożyczonych rekordowych wydatków zbrojeniowych – Warszawa dalej jest wypłacalna, a dług publiczny nie przekroczył ani krajowych, ani europejskich limitów. Jak to możliwe?

Kwestia proporcji

Pierwszy powód jest natury metodologicznej. Dług mierzony nominalnie – czyli w złotych – urosł w ciągu ostatnich lat o kilkaset miliardów. Konkretnie do prawie 1,5 bln zł. Za ten skokowy w latach 2020-2021 wzrost zadłużenia odpowiadają przede wszystkim tarcze antycovidowe i działania Polskiego Funduszu Rozwoju, które łącznie miały pochłonąć nawet 312 mld zł. Tyle kosztowało ratowanie miejsc pracy, wypłacanie tarcz firmom, stabilizowanie polskiego sektora finansowego i tuziny mniej lub bardziej przejrzystych działań mających łagodzić skutki pandemii. Gdy zatem spojrzeć na suche liczby, bez kontekstu pandemii, strzelający w górę słupek wykresu zadłużenia

niepokoi. Niektórzy z samego tego faktu wysuwają tezę o kryzysie zadłużeniowym i rekordowych poziomach zadłużenia.

Tyle że PKB naszego kraju rośnie nieprzerwanie od ćwierćwiecza, do tego w ostatnich latach szybciej niż przyrost długu. Co więcej, wysoka inflacja zwiększa wartość PKB – usługi i towary sprzedawane są za wyższą cenę, a dług liczony jako procent PKB maleje. I choć na koniec roku może przekroczyć 1,5 bln zł, to po raz pierwszy w naszej historii PKB przebijie sufit 3 bln zł. Proporcje zmieniają się więc na korzyść (choć po części ze złych powodów). Dlatego, mimo że zadłużyliśmy się (jak inne kraje Europy czy Kanada i USA) i wydaliśmy olbrzymie środki w czasie pandemii, to dzięki temu, że gospodarka dalej działa, PKB rośnie szybciej od zadłużenia.

Nie staliśmy się „drugą Grecją”

Warto w tym momencie przywołać dla porównania Grecję. Polska jest w UE państwem o średniej wysokości zadłużenia w stosunku do PKB – w połowie 2022 r. byliśmy

na 12. miejscu w Unii, przy średniej wysokości długu większej od naszej o 35 pkt proc. Grecy są na miejscu pierwszym – ich dług na początku 2022 r. wynosił 188% PKB!

Oznacza to, że gdyby Polska rzeczywiście miała się stać „drugą Grecją”, musiałaby pożyczyć jeszcze dwa i pół razy tyle, zwiększając swoje zadłużenie o ponad 130% PKB, czyli prawie 4 bln zł. Trudno sobie wyobrazić, jak miałyby to się wydarzyć i gdzie rząd znalazłby chętnych na kupno obligacji na takie kwoty. I że nie upadłby w trakcie realizowania tego szaleńczego planu. Już choćby dzięki temu eksperymentowi myślowemu możemy sobie uzmysłować, jak oderwane od rzeczywistości jest straszenie w naszych warunkach „greckim poziomem długu”.

Pesymiści jednak natychmiast dodają, że nawet jeśli dług pozostaje w korzystnej relacji do PKB – lepszej niż w większości krajów UE – to przecież rosną koszty jego obsługi. Czyli odsetki, które zmuszeni jesteśmy płacić. Prawda. Skala kosztów obsługi długu – od 66 mld według MF do nawet 100 mld według KE – robi wrażenie. To przecież równowartość wszystkich wydatków na wojsko albo na politykę rodzinną – które też mieszczą się w przedziale 55-70 mld i będą rosły.

Wymykające się spod kontroli koszty obsługi długu istotnie byłyby w sytuacji Polski problemem. Ale na odsetki do 2025 r. – znów w stosunku

rękach i denominowana jest w złotych. Udział inwestorów zagranicznych w polskim długu wyniósł w III kwartale 2022 r. 35%. Dla porównania – w roku 2015 było to 57,8%.

Większy udział sektora krajowego w długu oznacza zaś, że odsetki od tego długu trafiają do krajowych posiadaczy obligacji skarbowych – banków, funduszy i inwestorów indywi-

przestanie spłacać swoje zobowiązania, a do bankomatów ustawią się kolejki zrozpaczonych ludzi. Wszystkie znane analizy mówią, że zanim Polska zbankrutuje, runą finanse wielu krajów azjatyckich, afrykańskich, ale także członków NATO (Turcja) oraz Ukrainy. A wtedy świat naprawdę będzie miał wielki problem, ale nie my będziemy w jego epicentrum.

PKB naszego kraju rośnie nieprzerwanie od ćwierćwiecza, a w ostatnich latach szybciej niż przyrost długu.

dualnych. W większej niż 10 lat temu części zostaną w polskiej gospodarce. A dzięki temu, że poziom zadłużenia w walutach zagranicznych nie jest niebezpieczny, nie grozi nam los bankrutujących państw afrykańskich, które zapożyczają się w dolarach. Ani Grecji, która zadłużona była w euro i nie miała kontroli nad swoją walutą i stopami procentowymi.

Z tego powodu, jak pisałem już latem, nawet krytycy szefa NBP Adama Glapińskiego w Radzie Polityki Pieniężnej – np. prof. Joanna Tyrowicz – wymiawiają scenariusz „drugiej Grecji”.

Katalog strachów

Jeśli Polska wpadnie w jakiś poważny zakręt w najbliższych miesiącach, nastąpi to z innych przyczyn niż kryzys zadłużeniowy. Może zabraknąć paliwa lub z powodu ataków na

Jest takie amerykańskie powiedzenie, że można umrzeć nie z hukiem, lecz skowycząc po cichu. Tak trochę jest z największymi mitami polskiej debaty gospodarczej. Najróżniejsze klęski, katastrofy, nieuchronne kataklizmy zapowiadane są w niej głośno i bez cienia wątpliwości. Gdy te przepowiednie okazują się bezwartościowe – nie wybuchają głośno jak przekłuty balon. Powietrze uchodzi z nich po cichu. Ludzie, którzy przepowiadali katastrofę, nie przyznają się do błędu. Po prostu w porę (gdy widać już na horyzoncie fiasco aktualnej prognozy) zmieniają temat. I zaczynają straszyć już nie masowym bezrobociem, ale drenażem kieszeni klasy średniej. Albo gdy kompromituje się wizja braku rąk do pracy, zaczynają grozić upadkiem ZUS i systemu ubezpieczeń. A gdy i to nie działa, długotrwałą stagnacją gospodarczą, będącą efektem „wzrostu na kredyt”, itd.

Katalog strachów jest na tyle duży, że zawsze można znaleźć nowe, gdy aktualne przestają robić wrażenie. Pewne jest, że i w minionym roku wieszczono regularnie od lat bankructwo Polski się nie ziściło.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Wysoka inflacja zwiększa wartość PKB – usługi i towary sprzedawane są za wyższą cenę.

do PKB – wydamy 2,0-2,6% rocznie. Mniej więcej tyle, ile w latach 2009-2013 (średnio powyżej 2,3%), i dużo mniej niż na początku XXI w. (od ok. 3,3% w 2001 r. do ok. 2,5% w roku 2006). Słowem, „koszmarne jak za Gierka zadłużenie Polski” w rzeczywistości będzie nas kosztować proporcjonalnie tyle co w czasach „zielonej wyspy” Tuska.

Co więcej, polski dług – choć nominalnie dużo wyższy – jest dziś lepszy niż za czasów „zielonej wyspy”. Z jednego prostego powodu. Większa jego część znajduje się w polskich

kluczowe dla globalnej gospodarki rafinerie ceny paliw skoczą pod sufit – albo nasza oparta wciąż na węglu energetyka się zakorkuje. Możemy utracić środki z KPO i zaufanie inwestorów, a tracąca wartość złotówka pociągnie nas w dół. Mogą nas dotknąć nieprzewidziane jeszcze konsekwencje wojny rosyjsko-ukraińskiej. Inflacja może spowodować pogorszenie się poziomu życia i generować wiele negatywnych zjawisk tzw. efektu drugiej rundy.

Ale trudno wyobrazić sobie, że „zabraknie pieniędzy”, Warszawa



REPowerEU

– czyli dokręcanie ekologicznej śruby

Europa odchodzi od rosyjskich surowców energetycznych.
A to oznacza dużą kasę do wzięcia

Marek Czarkowski

Wystarczyły niecałe dwa tygodnie od ataku Rosji na Ukrainę, by 8 marca 2022 r. Komisja Europejska przedstawiła zarys planu uniezależnienia naszego kontynentu od rosyjskich paliw kopalnych. Punkt wyjścia był taki: Rosja w ostatnich latach dostarczała państwom unijnym ponad 40% zużywanego przez nie gazu, 27% ropy naftowej niezbędnej do produkcji paliw i 46% spalanego w elektrowniach i elektrociepłowniach węgla kamiennego. W obliczu wojny zdecydowano się z tym skończyć. Przyjęto założenie, że jeszcze przed rokiem 2030 kraje Unii Europejskiej całkowicie zrezygnują z rosyjskich surowców energetycznych. Plan ten nazwano REPowerEU. Zakładał on:

Celem Brukseli jest zamontowanie w krajach Unii do 2025 r. dodatkowych paneli fotowoltaicznych o mocy ponad 230 GW.

– zdywersyfikowanie dostaw gazu do Europy poprzez zwiększenie dostaw skroplonego surowca (LNG) oraz import rurociągami od dostawców innych niż rosyjczy;

– szybsze, niż dotychczas zakładano, ograniczenie wykorzystania paliw kopalnych (węgla, ropy i gazu) na rzecz energii odnawialnej pochodzącej ze słońca, biogazu oraz wodoru.

Na dobry początek Komisja zarezerwowała na wsparcie planu ok. 200 mld euro. Ze świadomością, że w przyszłości trzeba będzie znaleźć kolejne setki miliardów.

Już w marcu 2022 r. zapadła decyzja, że do 1 października magazyny gazu na terenie Unii mają być wypełnione w 90%. Cel ten został osiągnięty. Szybciej też zapadały

decyzje na szczycie przywódców państw UE. 18 maja 2022 r. Komisja Europejska nie tylko poinformowała, że do końca roku zmniejszy się zależność Zachodu od rosyjskiego gazu, ropy i węgla, ale również wyznaczyła nowe cele, jakie Unia powinna osiągnąć do roku 2030. Plan jest ambitny i kosztowny, ale w Polsce o nim cisza.

Im drożej, tym lepiej

W 2008 r. Parlament Europejski przyjął tzw. Pakiet energetyczno-klimatyczny, który wyznaczył trzy główne cele: ograniczenie emisji gazów cieplarnianych, promowanie stosowania energii ze źródeł odnawialnych i podnoszenie sprawności energetycznej Unii. Wielu polityków uważało, że zmiany te są zbyt szybkie i zbyt kosztowne. Jednak w lipcu

rozwiązań technologicznych, które pozwolą im płacić mniej. Czyli im będzie drożej dla obywateli, tym lepiej dla środowiska naturalnego.

Tym sposobem da się zmusić Europejczyków, by za każde pieniądze kupowali instalacje bazujące na odnawialnych źródłach energii – inwestowali w fotowoltaikę, pompy ciepła itp.

Gaz do dechy

W bogatych państwach podobne wydatki są łatwiejsze do przełknięcia, w biedniejszych napotykają opór. W Polsce program „Fit for 55” wzbudził głosy krytyki. Szczególnie donośnie płynęły one z szeregów Solidarnej Polski. Lecz propozycje z lipca 2021 r. to pikuś w porównaniu do tego, co znalazło się w tegorocznym planie REPowerEU. Tym razem Komisja Europejska – by posłużyć się językiem motoryzacji – wcisnęła gaz do dechy i zaproponowała znaczne zwiększenie tempa przechodzenia na energię odnawialną w europejskim przemyśle, budownictwie i transporcie.

Na początek Bruksela chce kolejnej zmiany celu określonego w przyjętej wcześniej dyrektywie w sprawie energii odnawialnej, czyli zwiększenia do roku 2030 produkcji energii ze źródeł odnawialnych w Europie z 40% do 45%. Oznacza to konieczność zwiększenia możliwości jej wytwarzania z planowanych w pakiecie „Fit for 55” 1067 GW (gigawatów) do 1236 GW.

Kluczową rolę ma tu odegrać fotowoltaika. Dlatego, że takie instalacje stawia się szybko. Celem Brukseli jest zamontowanie w krajach Unii do roku 2025 dodatkowych paneli o mocy ponad 230 GW. Czyli ponad dwukrotnie więcej niż obecnie. A do roku 2030 – o mocy niemal 600 GW.



Komisja Europejska chce zwiększenia do 2030 r. produkcji energii ze źródeł odnawialnych w Europie z 40% do 45%. Kluczową rolę ma odegrać fotowoltaika.

Te dodatkowe moce mają zastąpić zużycie 9 mld m sześć. rosyjskiego gazu ziemnego rocznie.

Komisja Europejska przygotowała wytyczne, nazwane „Strategią UE na rzecz energii słonecznej”, z których wynika, że powinniśmy masowo instalować panele na dachach budynków w całej Europie. A rządy powinny skrócić i uprościć procedury wydawania zezwoleń.

Urzędnicy przypomnieli, że dzięki dotychczasowej realizacji unijnej polityki na rzecz energii odnawialnej w ostatniej dekadzie koszty takich instalacji spadły o 82%, a fotowoltaika stała się jednym z najbardziej konkurencyjnych źródeł energii elektrycznej w Europie. Wszystkimi zatem to się niewątpliwie opłaci.

Nasz kontynent liczy się jeszcze pod względem potencjału naukowego oraz możliwości opracowywania nowych technologii, lecz kraje Dalekiego Wschodu coraz silniej zaznaczają swoją obecność, szczególnie w dziedzinach uważanych za perspektywiczne. A technologie związane z odnawialnymi źródłami energii i ochroną środowiska bez wątpienia do nich należą. Uwagi te nie dotyczą Polski, gdyż pod tym względem jesteśmy głębokim zaściankiem.

Lecz nie to jest powodem zaskakującego milczenia naszych polityków w sprawie planu REPowerEU. W październiku 2022 r. stały przedstawiciel Polski przy Unii Andrzej Sadoś powiedział, że z puli przeznaczonej na realizację tego planu przypadło nam

i paliwa. Bo jasne jest, że koszty transformacji energetycznej Europy poniosą jej mieszkańcy.

Ropa, gaz i wodór po nowemu

Dla jednych wojna to dramat, a dla innych okazja. Ci, którzy handlowali rosyjskim węglem, stracili, tak jak Niemcy liczący na zyski z gazociągów Nord Stream I i II oraz całe gałęzie europejskiego przemysłu, korzystające przez dekady z tanich surowców energetycznych ze Wschodu. Zarabiają dziś firmy amerykańskie eksportujące do Europy gaz łupkowy. Zarabia Arabia Saudyjska na dodatkowych dostawach ropy naftowej. Na lukratywne kontrakty liczą Azerbejdżan, Algieria, Nigeria i kilka innych państw afrykańskich, dysponujących złożami ropy i gazu. Europejczyków nie martwi fakt, że surowce te będą pochodziły z regionów niestabilnych politycznie i wojskowo. I że trzeba będzie płacić za nie więcej. Na razie łatwo jest przekonać ludzi, że za wszystko odpowiada Putin, i uciszyć krytyków, zarzucając im agenturalność.

Wielkie nadzieje związane są z wodorem, zwłaszcza „zielonym”, czyli produkowanym przy użyciu energii elektrycznej pochodzącej z OZE. W Polsce swoją strategię wodorową do roku 2030 ogłosiła Grupa Orlen, która chce stać się liderem rynku wodoru w Europie Środkowej, co pozwala politykom PiS dowodzić, że nasz kraj jest w europejskiej czołówce państw dbających o ekologię.

W ostatniej dekadzie koszty instalacji fotowoltaicznych spadły o 82%.

Komisja Europejska wie, że na rynku brakuje pracowników potrafiących instalować panele fotowoltaiczne. Traktuje to jako wyzwanie dla rządzących, którzy powinni zadbać o kształcenie przyszłych specjalistów. Bruksela postuluje też utworzenie europejskiego sojuszu przemysłowego na rzecz fotowoltaiki słonecznej, który miałby rozwijać innowacje, zwłaszcza w przemyśle wytwórczym. Może być z tym problem, gdyż większość paneli montowanych w Europie jest produkcyj chińskiej.

2,76 mld euro. Z powodu sporu polskiego rządu z KE o przestrzeganie zasad praworządności środki te są na razie dla nas niedostępne. Mają bowiem zostać włączone do unijnego Funduszu Odbudowy i będzie można po nie sięgnąć w ramach KPO, którego na razie Komisja Europejska nam nie zaakceptowała.

Drugim powodem milczenia polityków może być to, że jak długo się da, nie chcą irytować wyborców informacjami o konieczności podwyższenia rachunków za prąd, ciepło

W lutym 2022 r. z inicjatywy Agencji Rozwoju Przemysłu SA we Wrocławiu zostało powołane stowarzyszenie Dolnośląska Dolina Wodowa. Jego partnerem biznesowym jest KGHM Polska Miedź. Dolina stawia sobie za cel wspieranie innowacyjnych przedsięwzięć naukowych, technologicznych, przemysłowych oraz projektów inwestycyjnych. Gdy plan REPowerEU stanie się bardziej znany nad Wisłą, z pewnością zgłoszą się chętni, by sięgnąć po duże pieniądze. To będą przecież inwestycje! A że niewiele z nich wyniknie, to inna sprawa. Wszak po leżącej kasie tylko głupi by się nie schylił. ■

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Jestem Elly!

Czy kobieta ożywi włoską lewicę?

Elly Schlein – 37-letnia lewicowa, bezdzietna ekołożka, bezkompromisowa pacyfistka i bojownicza LGBT, ma zamiar postawić w centrum swojej polityki młodych i nierówności społeczne, prekariat oraz imigrantów, chce też wprowadzić do włoskiej Partii Demokratycznej ruchy i stowarzyszenia społeczne. To ona w połowie lutego 2023 r. będzie się ubiegać o przywództwo w PD.

Choć we wrześniowych wyborach parlamentarnych we Włoszech centrolewica przegrała z centroprawicą, Schlein podczas kampanii wyborczej odniosła wiele osobistych sukcesów. Choć nie należała do PD, była faworytką lidera partii Enrica Letty i z ramienia centrolewicowej koalicji uzyskała mandat posłanki do Izby Deputowanych.

Schlein już zrobiła błyskotliwą karierę polityczną. Urodziła się 4 maja 1985 r. w Lugano w Szwajcarii, z matki Włoszki i ojca Amerykanina. W 2011 r. ukończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Bolońskim, w czasie studiów jako wolontariuszka uczestniczyła w kampanii prezydenckiej Baracka Obamy. Zaangażowała się w działalność włoskiej Partii Demokratycznej. W latach 2014-2019 była eurodeputowaną z ramienia PD, choć już w 2015 r. przeszła do lewicowej partii Possibile (Możliwe), założonej przez Giuseppe Civatiego. Startując jako kandydatka niezależna, w 2020 r. została wybrana



Elly Schlein rozpala serca lewicowego ludu, który chciałby już wyjść na ulice przeciwko rządowi Meloni.

do rady regionu Emilia-Romania, a następnie objęła stanowisko wiceprzewodniczącej regionu. Była liderką OccupyPD i ruchu politycznego Green Italia. W 2013 r., gdy Romano Prodi nie został wybrany na prezydenta Republiki Włoskiej w wyniku „odstrzału przez 101 snajperów z własnej koalicji politycznej” (tak się o tym mówi we Włoszech

– przyp. aut.), Elly współorganizowała ogólnokrajową mobilizację protestu OccupyPD przeciwko ugrupowaniom wewnątrzpartyjnym realizującym jedynie własne interesy. W Bolonii była inicjatorką akcji „102 pomysły na zmiany”, z której pochodzą propozycje politycznego odrodzenia centrolewicy. Prodi otrzymał wtedy koszulkę z napisem: „Jest

nas więcej niż 101”. Rozwód Schlein z PD był nieunikniony, gdy na czele partii stanął Matteo Renzi, a następnie jako premier wprowadził reformy rynku pracy, których skutkiem był powszechny prekariat.

W grudniu 2022 r. Elly Schlein ponownie wstąpiła do ugrupowania, gdyż chce wziąć udział w jego reorganizacji oraz odnowie i będzie się ubiegać o wybór na sekretarza. O to samo stanowisko będą walczyć Stefano Bonaccini – prezydent regionu Emilia-Romania (praktycznie był szef Schlein), była minister Paola De Micheli – posłanka PD wybrana

również z tego regionu, a także Gianni Cuperlo (w młodości sekretarz Federacji Młodych Komunistów Włoskich) i być może inni, którzy dopiero zgłoszą swoją kandydaturę. Praktycznie jednak pojedynek odbędzie się pomiędzy Schlein i Bonaccinim. Reszta nie ma większych szans.

lewica rozpadła się i podzieliła. Lewicowi Włosi poszli głosować przeciwko Meloni. Wielu zdezerterowało i w ogóle nie wzięło udziału w wyborach. O miejsce po lewej stronie i o elektorat walczyło trzech konkurentów: PD, M5S i trzeci biegun. Ale to najprawdopodobniej dopiero

Giorgia Meloni wygrała wybory nie tylko dlatego, że Włosi stali się bardziej prawicowi. Włosi skreślili w prawo, bo nie mieli na kogo głosować.

Elly Schlein chce zostać lewicową odwrotnością Giorgii Meloni. Czy jej się uda?

Kawiorowa lewica

Giorgia Meloni wygrała wybory nie tylko dlatego, że Włosi stali się bardziej prawicowi. Włosi skreślili w prawo, bo nie mieli już na kogo głosować. Tutejsza lewica przegrała na własne życzenie.

Były sekretarz PD Enrico Letta – który w 2021 r. został wezwany z Paryża, gdzie pracował jako nauczyciel akademicki, na ratunek włoskiej lewicy – popełnił zbyt wiele błędów. Całą kampanię wyborczą oparł na straszeniu w kraju i za granicą powrotem faszyzmu we Włoszech, co odbiło się rykoszetem, szkodząc poważnie samej lewicy. Nie zdołał zbudować szerokiej koalicji wyborczej, włączając do niej całą opozycję – zarówno Ruch Pięciu Gwiazd Giuseppe Contego, jak i tzw. trzeci biegun, czyli koalicję centrową: Żywe Włochy Mattea Renziego i Akcję Carla Calendy. Przede wszystkim jednak nie potrafił przedstawić żadnego lewicowego programu. Proponował zaledwie kontynuację polityki byłego premiera Maria Draghiego oraz wprowadzenie *ius soli* – prawa do uzyskania przez dzieci imigrantów obywatelstwa po ukończeniu cyklu szkolnego, gdyż włoska prawica sprzeciwia się od zawsze *ius soli* – czyli nabyciu obywatelstwa w wyniku urodzenia się na terytorium danego kraju.

Wskutek złej strategii przedwyborczej i braku programu politycznego

początek podziałów po tej stronie sceny politycznej.

Po wrześniowych wyborach Enrico Letta złożył od razu rezygnację. Teraz pełni funkcję „przewoźnika”, który ma doprowadzić Partię Demokratyczną do kongresu. Wygląda jednak na to, że bliżej mu do roli mitologicznego Charona, przewoźnika zmarłych i konających... Partia od lat nie proponuje niczego lewicowego. Stała się skamieliną politycznych tuzów, podzieloną na zwalczające się ugrupowania, które nie słuchają swoich wyborców i nie dopuszczają do głosu ani młodych, ani nowych. Aparat polityczny został zdominowany przez ludzi ze stolicy, którzy zapominają nie tylko o reszcie kraju, ale nawet o peryferiach miasta.

Schlein jest bezkompromisową pacyfistką, przeciwną jakiegokolwiek pomocy militarnej dla Ukrainy.

Dziś wyborcy PD to zamożna klasa średnia – intelektualiści, pracownicy naukowcy, artyści, wykształcone mieszczaństwo – mieszkająca przeważnie w dzielnicach, w których ceny nieruchomości są najwyższe. Ich głównymi sloganami politycznymi są prawa człowieka, równość, wolność bez względu na rasę, płeć, narodowość i przekonania religijne, a także wielokulturowość. Ideologiczne multi-kulti, które ma mało wspólnego z rzeczywistością: biednymi, wieloraszowymi peryferiami miast, pełnymi przemocy i przestępczości, oraz wyludniającą się

prowincją, miasteczkami zamieszkawanymi coraz częściej przez imigrantów. Dlatego we Włoszech o lewicy mówi się *radical chic* lub Zona ZTL (radikalny szyk i strefa ograniczonego ruchu drogowego – przyp. aut.) albo nazywa się ją lewicą kawiorową. Dawniej na włoską Partię Komunistyczną głosowali robotnicy. Dziś PD z robotnikami ma niewiele wspólnego. To uprzywilejowana burżuazja farbowana na czerwono, która z różnych powodów (podążając za modą, osobistymi interesami lub mając skłonności do ekshibicjonizmu) obnosi się z ideami podobnymi do radykalnej lewicy.

Meloni, która sama pochodzi z rzymskich peryferii, rozumiała przemiany społeczno-polityczne zachodzące w kraju i złożyła Włochom jedyną ofertę polityczną.

Pacyfizm i inne utopie

„Towarzyski i towarzysze!” – tak Elly Schlein zwróciła się do członków Partii Demokratycznej podczas konwencji inaugurującej jej kandydaturę, zorganizowanej w klubie kulturalnym Monk w peryferyjnej dzielnicy Portonaccio, z dala od centrum Rzymu. Jej program przedstawiony na stronie internetowej [ellyschlein.it](https://www.ellyschlein.it) opiera się na pięciu filarach: 1. IMIGRACJA (autentycznie europejska polityka

migracyjna i azylowa, która realizuje przewidzianą w traktatach zasadę solidarności i sprawiedliwego podziału odpowiedzialności między wszystkie państwa członkowskie Unii Europejskiej.); 2. TRANSFORMACJA EKOLOGICZNA (Zielony Ład, inwestycje towarzyszące niezbędnej transformacji ekologicznej, pomagające ratować planetę i jednocześnie przywracające wysokiej jakości zatrudnienie w zielonej gospodarce o obiegu zamkniętym – plan konkretnych działań prowadzących do pełnej dekarbonizacji do 2050 r., wyeliminowania emisji powodujących zmianę

► klimatu i 100% OZE do 2035 r. oraz polityki ekologicznej spójnej z celami Agendy na rzecz Zrównoważonego Rozwoju 2030); 3. SPRAWIEDLIWOŚĆ PODATKOWA (walka z unikaniem i uchylaniem się od opodatkowania poprzez wspólną definicję rajów podatkowych, automatyczną wymianę informacji, harmonizację standardów podatkowych); 4. PERSPEKTYWY UE (o Europie odważną, zdolną do inwestowania w swoją przyszłość i do stawienia

z polityką rozdawnictwa zniechęcającą do podjęcia pracy. Elly jest także za otwarciem portów dla statków organizacji pozarządowych ratujących imigrantów na morzu. Zamknięcie portów stanowiło główny cel Matteo Salviniiego i jest realizowane przez nowy rząd.

Przed wszystkim jednak Elly Schlein jest bezkompromisową pacyfistką, przeciwną jakiegokolwiek pomocy militarnej dla Ukrainy. „Tam, gdzie się wysyła broń, strzela ona

z Zachodem poprzez kryzys energetyczny, przyjmie zaproszenie i wpadnie na tortellini w rosole, by pogadać o pokoju.

Lewicowe porachunki

Nadchodzący kongres PD zapowiada się jako pojedynek między młodą outsiderką a prezydentem Emilią-Romanią. Pojedynek, w którym wszystkie chwytły będą dozwolone, aczkolwiek obie strony temu zaprzeczają. Wiadomo już, że partyna stara gwardia jest przeciwna Bonacciniemu, mającemu poglądy w stylu angielskich laburzystów oraz trzeźwiejsze spojrzenie na geopolitykę, i stawia na outsiderkę. Za Bonaccinim stoją oddolny ruch reformatorów PD oraz lewicowi prezydenci miast i regionów – czyli lewica instytucjonalna. Schlein natomiast rozpala serca lewicowego ludu, który chciałby już wyjść na ulice przeciwko rządowi Meloni i na rzecz pokoju na świecie.

Stosunek do Rosji jeszcze przed wyborami dzielił włoską scenę polityczną – zarówno centroprawicę, jak i centrolewicę. Teraz kontrasty te mogą się zaostrzyć i stanowić pewien kłopot nie tylko dla prawicowego rządu. Wbrew temu, co pisano przed wyborami o zagrożeniu faszyzmem we Włoszech, Giorgia Meloni w swoim niezłomnym atlantyzmie jest elementem pozytywnym, przynajmniej z punktu widzenia Ukrainy i Polski.

A co się stanie z lewicą? Najprawdopodobniej Elly wygra wybory na sekretarza PD, choć nie jest to jeszcze przesądzone. Włoska lewica jest bowiem spragniona nowości i gotowa na pierwszą liderkę. To jednak może doprowadzić do kolejnych podziałów w partii i osłabić ją, a przede wszystkim wpechnąć ponownie na tory populizmu.

Matteo Salvini już zaciera ręce: „Będziemy rządzić przynajmniej przez kolejne dziesięć lat!”. Giorgia Meloni nie jest pewna, czy chce tak długo pracować jako premier. Może po pierwszej pięciolatce zdecyduje się powrócić do roli matki.

Partia Demokratyczna stała się skamieliną politycznych tuzów, zwalczających się, niesłuchających wyborców i niedopuszczających do głosu młodych czy nowych.

czoła wyzwaniom teraźniejszości z myślą o przyszłości); 5. RÓWNOŚĆ (walka z dyskryminacją we wszystkich jej formach i odmianach, o to, by każda jednostka mogła w pełni dochodzić swoich praw, w sposób bezpieczny i spokojny).

Ponadto Schlein jest za przywróceniem we Włoszech dochodu obywatelskiego, który został wprowadzony przez Ruch Pięciu Gwiazd w 2019 r. i którego zniesienie było jednym ze sztandarowych postulatów Giorgia Meloni, chcącego skończyć

później przez długie lata – mówiła w jednym z włoskich programów telewizyjnych. – Dlaczego wreszcie nie przestaniemy wysyłać broni na Ukrainę i nie rozpoczniemy prawdziwych rozmów o pokoju na świecie? Jesteśmy gotowi zorganizować konferencję pokojową w Emili-Romani i zaprosić do okrągłego stołu Putina”.

Piękne idee, ale mało realne. Ciekawe choćby, czy Władimir Putin zrezygnuje z dążenia do zmiany paradygmatów geopolitycznych, zagarnięcia Ukrainy oraz walki



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

We wszystkich mediach możemy pooglądać nowe reality show „Przeproś mnie”. Najnowszy odcinek nosi tytuł „Prezes musi sprzedać dom”. Uporządkujmy fakty. W toku niezliczonych batalii Jarosława Kaczyńskiego (od lat utrzymywanego przez skarb państwa: czy to w bibliotece, czy to na uczelni, czy w parlamencie albo innej kancelarii prezydenta) w 2016 r. – kiedy wbrew faktom i ustaleniom państwowej komisji prezes nadmuchiwał z zapalem godnym jakiegokolwiek innej sprawy balon mitu zamachu smoleńskiego – udało mu się chlapnąć w wywiadzie dla Onetu niezły pakiet insynuacji i ciężkich zarzutów. Wśród innych zaatakował swojego byłego ministra obrony Radosława Sikorskiego (w latach 2005-2007 w rządzie Marcinkiewicza i Kaczyńskiego; w latach 2007-2014 szef MSZ w rządzie Tuska). Prezes PiS stwierdził, że zastępca ambasadora w Moskwie

Kaczyński oprócz formalnego immunitetu zdobył status osoby faktycznie nietykalnej. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek odpowie politycznie (inaczej niż np. w formie przegranych wyborów) choćby przed Trybunałem Stanu. Obecne postanowienie sądu musiało go i zaskoczyć, i poirytować. W służalczej wobec jego formacji i jego samego „Gazecie Polskiej” ronił tży skrzywdzonego staruszka, którego Sikorski chce niemal wygnać pod most, uczynić bezdomnym. „Nie mam takich pieniędzy. Będę zmuszony sprzedać dom, nawet nie wiem, czy to wystarczy, bo jestem właścicielem jednej trzeciej domu, w którym mieszkam”.

Kaczyńskiemu życie bezdomnego nie jest pisane, jako poseł ma zawsze dach nad głową w Domu Poselskim. Poza tym wszyscy obdarowani przez niego intratnymi posadami państwowymi

Ile kosztuje słowo przepraszam i czemu tak niedrogo?

Piotr Marciniak złożył w rosyjskim MSZ notę dyplomatyczną, by uznać miejsce tragedii za eksterytorialne. Następnie otrzymał od ministra Sikorskiego polecenie, aby tę notę wycofać. „Na takie zachowanie jest przepis w Kodeksie karnym – zdrada dyplomatyczna”.

Sikorski zażądał przeprosin, a kiedy się ich nie doczekał, wystąpił z powództwem cywilnym. Po kilku latach sądowych batalii, w lipcu 2020 r., sąd prawomocnie nakazał Kaczyńskiemu przeproszenie Sikorskiego. Jarosław Kaczyński wyroku nie wykonał. Sikorski z adwokatami wymyślił zatem prawniczą pułapkę: uzyskał zgodę sądu na to, by samemu opublikować przeprosiny (zastępcze wykonanie wyroku), a kosztami ich opublikowania sąd obciążył Kaczyńskiego. Nie wyszło tanio: „Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie nieprawomocnie przyznał Radosławowi Sikorskiemu od Jarosława Kaczyńskiego kwotę 708 480 zł celem pokrycia kosztów związanych z opublikowaniem przeprosin na łamach serwisu Onet”, poinformowała kancelaria Dubois i Wspólnicy.

Jarosław Kaczyński, dzierzący władzę potężniejszą, niż miał jakikolwiek polityk po 1989 r., władający niepodzielnie mediami publicznymi i systemowo zasilanymi pieniędzmi państwa pravicowymi mediami prywatnymi, sprawujący faktyczny nadzór nad prokuraturą, pośrodku boju o zawładnięcie całym wymiarem sprawiedliwości i uzależnienie go od siebie, zderzył się nagle z koniecznością poniesienia konsekwencji uprawianej przez siebie polityki skłócania, stygmatyzowania, bezpardonowego oskarżania przeciwników politycznych (wszyscy wokół Tuska i sam Tusk) oraz całych grup społecznych, jak chociażby środowisk LGBT czy uchodźców.

zrzuciliby się zapewne na jakieś lokum. On sam od lat zarabia kilkaset tysięcy rocznie, nie bardzo ma też na co wydawać, miliony na ochronę idą z pieniędzy państwa. Ta lekcja mogłaby być cenną reprimendą dla jego nienawistnej, niezmałconej wątpliwościami buty i arogancji. Zapewne jednak tak się nie stanie. Wyrok musi się uprawomocnić, to raz. Dwa – Sikorski gra swoją grę, pochylając się nad widmem bezdomności Kaczyńskiego i deklarując, że jeśli Kaczyński wpłaci 50 tys. zł na dozbrojenie armii ukraińskiej, to on odstąpi od swoich żądań. Dobry pan z pałacu. Tak czy owak, Kaczyński spadnie na cztery łapy.

A szkoda. Bo nasza opozycyjna klasa polityczna, nawet jeśli zdobędzie większość parlamentarną, to nie wiadomo, czy będzie miała odwagę, determinację i wolę rozliczenia PiS i Kaczyńskiego przed Trybunałem Stanu. I tak brzydka, ale wyliczona na prawie 2 mln zł willa na Żoliborzu raczej nie zmieni właściciela. Nawet jeśli Kaczyński jest nim tylko w jednej trzeciej.

A co do rozgrywki smoleńskiej, warto pamiętać, że bratanka Jarosława, Marta, córka Lecha i Marii Kaczyńskich, pobrała 3 mln zł odszkodowania za śmierć rodziców nie w zamachu, lecz w katastrofie lotniczej. Ale kto by się czepiał takich drobnych niekonsekwencji?

W Polsce Kowalski może trafić do aresztu za niezapłacenie 100 zł mandatu. Ale prezes partii rządzącej za niewykonanie wyroku sądu i nakazu zapłaty 700 tys. zł? No, gdzie tam. Bo na pewno nie tu.

Kaczyńskiemu ta kara się po prostu należy. Miałaby spory wymiar edukacyjny i odstraszający. Mimo wszystko sądzę, że z tej sądowej maki chleba kary nie będzie. ■

Kod milczenia

Kiedy skończy się dominacja siły i strachu w środowisku greckich mediów?

Chrystian Ślusarczyk

Bycie dziennikarką nie jest w Grecji – dziś, w XXI w. – ani łatwe, ani bezpieczne. Molestowanie seksualne to w środowisku mediów zjawisko powszechne, co pokazał portal Balkan Insight. Zaczyna się już na studiach, później, w mniejszych i większych redakcjach prasowych czy stacjach radiowych i telewizyjnych, jest tylko gorzej. Ogromna większość dziennikarek boi się informować o różnych formach molestowania, którego doznawały lub wciąż doznają ze strony przedstawicieli płci przeciwnej. Klasyczny przykład to wykorzystywanie przez szefów, ale zdarza się, że krzywdzone są kobiety na wyższych stanowiskach... przez czujących całkowitą bezkarność podwładnych. Dopiero w ostatnich miesiącach, może nawet tygodniach, greckie dziennikarki odważyły się wyznać publicznie, co je spotyka. Ale żadna nie zdecydowała się na podanie prawdziwego imienia.

W objęciach strachu

Z trudem, łamiącym się głosem, 33-letnia Zoe wyznaje, co ją spotkało w jednej z rozgłośni radiowych. „Dyrektor naszej stacji, 55-letni facet, gdy tylko w pokoju nie było nikogo, wpychał mnie w kąt i bezczelnie domagał się, bym dotykała własnego ciała. Oczywiście odmawiałam. Co jakiś czas miał napady złości. Wrzeszczał na mnie i koleżanki. Klnąc ile się da, żądał, abyśmy natychmiast opuściły redakcję. Nie miałyśmy wyboru. Wychodziłyśmy na kawę, wracałyśmy dopiero wtedy, gdy byłyśmy pewne, że sobie poszedł. Innym razem najpopularniejszy dziennikarz naszej stacji zaprosił mnie na drinka. Trochę się bałam odmówić, więc się zgodziłam. Robił wszystko, żeby mnie

pocałować. Nie obchodziło go, że nie mam na to ochoty, że cały lokal na nas patrzy. Kiedy zagroził, że powie wszystkim w redakcji o moich rzekomych wybrykach seksualnych, w końcu mu uległam i przespałam się z nim. Kilka lat później – po czymś, co można nazwać moim małym, prywatnym śledztwem – wyszło na jaw, że to samo robił z dwiema innymi koleżankami”.

Dimitra, dzisiaj 44-letnia, opowiedziała, że kiedy była studentką dziennikarstwa, jej profesor, wybitny, znany także poza Grecją dziennikarz, zainicjował związek, który ona – z lęku o zawodową przyszłość – bała się przerwać. „Kiedy mówiłam mu, że musimy ze sobą zerwać, groził, że wyrzuci mnie ze studiów i powie rodzicom, że jestem kobietą lekkich obyczajów. Miałam depresję. Gdy przechodziłam przez ulicę, żałowałam, że nie potrafił mnie samochód”, wyznaje Dimitra.

Dziennikarki dopiero w ostatnich miesiącach odważyły się wyznać publicznie, co je spotyka.

Jak widać, strach i niepewność wciąż wygrywają z otwartością i prawdą. Podobnie dzieje się w świecie sportu i kultury. Tam też ofiary nadużyć nie chcą o tym mówić lub informują zainteresowane media pod zmienionym nazwiskiem.

Wygląda jednak na to, że rok 2022 w kwestii otwarcia się na problemy Greczynek z bezpieczeństwem w miejscach pracy był przełomowy. W minionym roku odbyły się bowiem pierwsze trzy procesy w sprawie nadużyć seksualnych w sporcie i w kulturze, rok po tym, jak złota medalistka olimpijska Sofia Bekatorou oskarżyła o gwałt przedstawiciela Greckiej Federacji Żeglarskiej. Z kolei w mediach

społecznościowych trzy dziennikarki zaczęły dzielić się historiami dotyczącymi molestowania. Dwie z nich ośmieliły się nawet podać nazwiska sprawców! Jak na grecką rzeczywistość to krok milowy.

„Nie uważam za przypadek tego, że tylko trzy dziennikarki wypowiedziały się na temat molestowania. Odwagę wykazały trzy, ale gnębionych było 30, a może 300”, gorzko ocenia Ntina Daskalopoulou, dziennikarka greckiego portalu EFSYN, która specjalizuje się w kwestiach socjologicznych związanych z rolą kobiety we współczesnym społeczeństwie. „Newsroom jest męski w kulturze i postrzeganiu! Promuje męskie pseudowartości. Promuje to, że mężczyzna jest silniejszy fizycznie, bardziej doświadczony, ma zawsze rację i do niego należy ostatnie słowo. Tak postrzegana rzeczywistość bardzo łatwo może wtargnąć w intymny kobiecy świat i prowadzić do

poważnych nadużyć. To nie przypadek, że nawet dzisiaj w Grecji nie badamy traum, które są skutkiem molestowania i wykorzystywania kobiet pracujących w mediach, kulturze, sporcie i kto wie gdzie jeszcze”, uważa Daskalopoulou.

Liczy mówią za siebie

O skali zjawiska i gigantycznych problemach do rozwiązania mówią liczby. W ankiecie portalu Balkan Insight przeprowadzonej wśród pracowników mediów 94,5% respondentów stanowiły kobiety. Choć może to się wydawać nieprawdopodobne, 92% określiło siebie jako ofiary,



„Newsroom jest męski w kulturze i postrzeganiu! Promuje męskie pseudowartości”, mówi Ntina Daskalopoulou, dziennikarka portalu EFSYN.

Złota medalistka olimpijska Sofia Bekatorou oskarżyła o gwałt przedstawiciela Greckiej Federacji Żeglarskiej.

a 8% jako świadkinie incydentów, które miały miejsce w latach 1993-2021. Najmłodsza ofiara miała 17 lat, najstarsza – 62. 43% zdarzeń miało charakter seksualny, a 35% stanowiło molestowanie słowne. Do 81% zdarzeń doszło w redakcji czy biurze, w nieco ponad połowie przypadków sprawcą był przełożony. 22% sprawców było rówieśnikami swoich ofiar.

Badania pokazują, że jedynie 29% osób było w stanie opowiedzieć o tym, co im się przydarzyło. Reszta nie mogła do tego się zmusić, najczęściej z obawy przed brakiem wsparcia, utratą pracy i napiętnowaniem, niepewną przyszłością. Równie niepokojące jest to, że aż 65% przyznało, że nie ma żadnej wiedzy na temat procedur zgłaszania tego typu zdarzeń.

Greccy eksperci twierdzą, że w wielu przypadkach o to, co się stało, ofiary obwiniają siebie, co tylko pogłębia problem. Często kobiety przestrzegają koleżanki z pracy przed zagrożeniem ze strony mężczyzn. Jednak nie idzie z tym w parze zainteresowanie, czy to, co spotkało je same, dotyczy również innych zatrudnionych. Ogromna większość



funkcjonuje zaś w schemacie „jej to się zdarzyło, więc nie zdarzy się mnie”. „Niestety, w naszej społeczności wciąż istnieje system, który znormalizował molestowanie i przemoc ze względu na płeć – uważa Malvina Soulele, psycholożka z Centrum Praw i Równości Płci Diotima w Atenach. – Kobieta może nie rozumieć, że jest molestowana, ponieważ nie nauczyliśmy się o tym mówić. Nauczyliśmy się, że takie już mają być relacje kobieta-mężczyzna. Pamiętajmy, że równie niebezpieczna jak przemoc seksualna jest przemoc słowna i psychiczna”.

Brak odpowiednich procedur

Dwie trzecie pracowników mediów, którzy zgodzili się wziąć udział

w ankiecie Balkan Insight, stwierdziło, że ich pracodawcy nie mają określonych procedur składania skarg przez pracowników, 86%, że nie zapewniono im szkoleń dotyczących radzenia sobie z molestowaniem i wykorzystywaniem seksualnym w miejscu pracy, a zaledwie 19%, że wzięło – z własnej inicjatywy – udział w szkoleniu o przemoc na tle płciowym.

„Dla kogoś, kto pracował w branży medialnej, dane te nie są zaskoczeniem – mówi Eleana Pandia, doktorantka i badaczka psychologii mediów na Uniwersytecie Panteion. – Nie ma znaczenia, czy redakcja jest

duża, czy mała, czy są to media krajowe czy lokalne. Kobieta może być molestowana seksualnie w małym przedsiębiorstwie rodzinnym, np. przez wujka lub kuzyna, ale to samo może ją spotkać w korporacji. Jak widać, nie wielkość firmy się liczy. Mamy niestety do czynienia z zagadnieniem kompletnie nieznanym w etyce zawodowej w Grecji”.

W kwestii zagrożeń dla kobiet w miejscach pracy Balkan Insight skontaktował się z przedstawicielami niemal 60 mediów. Znamienne, że aż 11 odmówiło odpowiedzi na pytania.

Firma Alter Ego Media stwierdziła: „U nas wszystko zawsze odbywa się i odbywało w zgodzie z obowiązującymi przepisami, a zarząd nigdy nie otrzymał żadnych sygnałów dotyczących nękania lub jakichkolwiek ▶

► nadużyć wobec dziennikarek”. Do Barking Well Media nie wpłynęły ponoć żadne skargi, a w sierpniu 2022 r. wprowadzone zostały tam procedury postępowania w takich przypadkach. Gazeta finansowa „Naftemporiki” oświadczyła, że „chroni prawa własnych dziennikarek”. Wydawnictwo Kathimerini Publishing zaś poinformowało, że nie ma specjalnego działu zajmującego się rozpatrywaniem

Z kolei rozgłośnia Ateny 9.84 zapewniła, że ciągu 35 lat działalności stacja nie miała do czynienia z incydentami molestowania seksualnego w miejscu pracy.

Niezależne media Manifold, Reporters United, Solomon i MIIR to małe organizacje non profit, zatrudniające od czterech do ośmiu osób. Tylko Solomon, jak przekazało jego szefostwo, miał do czynienia

Stella Kasdagli, współzałożycielka Women On Top, stowarzyszenia, które działa na rzecz promowania równości w miejscu pracy, uważa, że nic nie usprawiedliwia braku jasnych procedur w zakresie zgłaszania incydentów przez ofiary i prowadzenia dochodzeń. „Wiele organizacji i firm wykazuje opór wobec zmian, których wymaga równość i bezpieczeństwo w pracy – podkreśla Kasdagli. – W sposób niezwykle obtudny firmy te powołują się na rzekomo dobry klimat wewnętrzny, wizerunek i liberalną politykę kadrową. Robią to, by uzasadnić brak zasad, procedur oraz bezpiecznych możliwości zgłaszania incydentów”.

I tak w krajach, gdzie zrodziło się pojęcie demokracji, wciąż żywe są niepisane zasady, które demokracji zaprzeczają. Ich ofiarą padają dziennikarki, pracownice administracji publicznej, kultury, szkolnictwa, zawodniczek sportowe... Tym zasadom towarzyszy swoisty kod milczenia. Kod, który Greczynki próbują dziś nieśmiało rozszyfrować i zniszczyć.

Chrystian Ślusarczyk

W greckiej społeczności wciąż istnieje system, który znormalizował molestowanie i przemoc ze względu na płeć.

niem skarg dotyczących molestowania. Nieco inaczej, przynajmniej na papierze, wygląda sytuacja w greckiej telewizji publicznej ERT, Hellenic Broadcasting Corporation. Tam specjalny dział zajmuje się sprawami molestowania kobiet i do końca 2022 r. planowane były seminaria edukacyjne. ERT oświadczyła, że wpłynęły dwie skargi – w 2017 i 2021 r. Rada dyscyplinarna firmy oddaliła pierwszą, a drugiej... jeszcze nie rozstrzygnęła.

„z incydentem rzekomego molestowania seksualnego, w wyniku którego sprawca został zwolniony”. W 2021 r. placówka zorganizowała cykl zamkniętych grup fokusowych i wywiadów dotyczących zdrowia psychicznego dziennikarzy i dziennikarek, w tym problematyki molestowania i znęcania się. Żadna z czterech wymienionych instytucji medialnych nie ma specjalnych procedur rozpatrywania takich skarg.



W bieżącym numerze także:

- **Tomasz Markiewka**
Po co nam usługi publiczne?
- **Ilioné Schultz**
Gwałty stały się narzędziem wojny
- **Jarosław Urbański**
Trzy wieki walki z autorytarną władzą
- **Brian Porter-Szücs**
Katolicyzm, nowoczesność i Polska
- **Przemysław Prekiel**
Sto lat hańby narodowej

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

I już nowy rok

Wigilia na wsi u brata mojej żony. On, kiedyś sadownik, a teraz bardziej biznesmen. Są jego teściowie, też mieszkają na wsi, religijni, więc na wstępie czytanie biblii oraz modlitwa. Nie przeszkadza mi to, jest we mnie wkład religijny z dzieciństwa i ten obrządek wydaje mi się ładnym ornamentem. A ci ludzie to kiedyś zagorzali pisowcy. Ona miała nawet na biurku portret Lecha Kaczyńskiego. A tu niespodzianka: okazuje się, że od jakiegoś czasu nienawidzą PiS. Nawet wyrzucili z domu telewizor, nie mogli znieść pisowskiej propagandy. Myślę: cudownie, zmądrzeli! Wkrótce okaże się, że nie jest to takie proste. Nie wierzą w covid, maseczki, szczepienia, to wszystko światowy spisek, w którym PiS bierze udział. I przeraża ich uległość PiS wobec Brukseli. Uważają, że ich gospodarstwo popada w ruinę z powodu polityki PiS wobec wsi. „Na kogo będziecie głosować?“, pytam. Na Konfederację, a w Konfederacji najbardziej im się podoba poseł Braun. W głowach więc sieczka. A przy tym mili i serdeczni ludzie.

Znajoma mi mówi: „Jechałam autobusem i nagle na ekranie widzę twoje zdjęcie i cytat z twojej książki”. A ja na to: „Szkoda, że ja tego nie widziałem, nakarmiłoby to mój narcyzm”, chociaż nie wiem, czy on jest znowu taki głodny. Dziwne tylko, że to tak bez mojej zgody. Przed laty mój króciutki wiersz o dziecku jeździł w sztokholmskim metrze. Było to możliwe, bo w Sztokholmie ukazał się mój tomik, w przekładzie Andersa Bodegård. Tam wydział komunikacji nie tylko zapytał mnie o zgodę. Jedyne raz w moim życiu, gdy dostałem poważne wynagrodzenie za poezję, na którą, jak wiadomo, łatwiej umrzeć, niż z niej żyć. A biedny Anders teraz pogrążony w otchłaniach alzheimera, kochany człowiek i wybitny tłumacz, to dzięki niemu Szymborska dostała Nobla. Ja z kolei dzięki niemu w maju 1990 r. wyjechałem do Szwecji, gdzie byłem dyrektorem Instytutu Polskiego i attaché kulturalnym. Kilka miesięcy wcześniej spotkałem go zupełnie przypadkiem na warszawskiej ulicy. I z tego przypadku wziął się potem ten wyjazd, który tak wzbogacił i odmienił moje życie.

Porządkuję i sprawdzam listy mojego ojca do brata Jerzego. Austeria obiecuje je wydać. Listy są przedwojenne i powojenne, pisane do 1973 r., gdy brat umiera. Uderza mnie, że ojciec także w listach był specjalistą od rozpaczania z powodu głupstw, co świetnie pamiętam.

A przecież wiedział, i to była wiedza głęboka, też zawarta w jego poezji i w esejach, że wszystko to marność nad marnościami i nie ma co się przejmować głupstwami. A jednak rozpaczął z powodu głupstw. Był zakleszczony w tym paradoksie. Miał również poczucie własnej wielkości, a zarazem pokorę i poczucie niższości, wędrując między jednym a drugim biegunem, podatny był na zranienie i męczył się sam ze sobą.

Czytałem też listy wzajemne Różewicz-Miłosz. Pisali do siebie od 1947 r. aż do śmierci Miłosza w roku 2004. A widzieli się bodaj trzy razy. Były przerwy w tej korespondencji i nie jest tych listów tak dużo, ale są niezwykle intensywne w emocjach. Obaj piszą, że ich związek to była jakaś forma miłości. Zarazem do końca są na pan, co osobliwe, to trochę jakby z kimś pójść do łóżka, nie będąc na ty. Różewicz przyjaźnił się z obojgiem moich rodziców, są setki listów do nich i od nich, gdzieś

Ojciec wiedział, że wszystko to marność nad marnościami i nie ma co się przejmować głupstwami. A jednak rozpaczął z powodu głupstw.

w otchłaniach Biblioteki Narodowej. Pamiętam, jak jako nastolatek otwieram Różewiczowi drzwi na naszej lwickiej. Potem, będąc w drugim pokoju, słyszę, jak Różewicz rozmawia z rodzicami. Skarży się, że kiedyś mu poezja tryskała, a teraz tak ledwie kapie. I mówi do mojej mamy, że ją podziwia, jak może pisać wiersze, mając na głowie cały dom.

W bibliotece odziedziczonej po rodzicach są liczne książki poetyckie z dedykacjami Różewicza, także dla mnie. Wzruszają poprawki, jakie robił poeta. A ja narozrabiałem. W latach 80., w paryskiej „Kulturze”, gdzie miałem felieton, zaatakowałem Różewicza, zarzucając mu polityczny konformizm, sam wtedy byłem bezkompromisowy. Redaktor Giedroyc myślał podobnie, kiedyś napisał, że ten świetny poeta „politycznie zachowuje się strasznie”. Kiedy w roku 1993 chciałem Różewicza zaprosić do Sztokholmu, zadzwoniłem, a on na moje zaproszenie mówi krótko i stanowczo: „Nie przyjadę”. I Nobla nie dostał. Dostał wcześniej nagrodę Miłosz, a potem jak na złość Szymborska. Miłoszowi nagrodę wybaczył, a Szymborskiej nie wiem. A mnie to na pewno nie wybaczył.

I już nowy rok, nie spotkałem nikogo, kto by był optymistą.

Mateusz Mazzini

Kryptopotęga

W ostatnim roku północnokoreańscy hakerzy ukradli niemal miliard dolarów zaszytych w kryptowalutach

Na papierze bieda aż piszczyci. O precyzyjne dane na temat Korei Północnej, zdecydowanie najbardziej odizolowanego kraju na planecie, zawsze jest trudno, ale akurat tę informację łatwo zweryfikować, bo dotyczy wymiany handlowej. Transakcje raportują dwie strony, więc Pjongjang nie do końca może manipulować liczbami. Według Banku Światowego w całym roku 2021 północnokoreański reżim zarobił jedynie 89 mln dol. na eksporcie dóbr za granicę. Z punktu widzenia europejskich gospodarek to grosze, np. Polska w tym samym okresie sprzedała na świecie dobra za łączną sumę 342 mld dol., czyli prawie 4 tys. razy więcej.

Głównym winowajcą są tu oczywiście sankcje, którymi Koreę obejmują nawet Narody Zjednoczone, Pjongjang po prostu nie ma z kim handlować. Inna sprawa, że nie

jednak w Korei Północnej również klasa wyższa, mniej więcej milion osób. A wewnątrz niej wąska elita, bezpośredni dwór Kim Dzong Una, maksymalnie kilka tysięcy obywateli. Ich życie nie ma nic wspólnego z oficjalną doktryną kraju, która głosi, że jedynie socjalizm może dać szczęście i dobrobyt. Luksusowe samochody, zegarki i torebki, gigantyczne apartamenty w nowych budynkach, dostęp do produktów z Zachodu praktycznie na zawołanie – to zupełnie inna Korea Północna.

wywiadu wojskowego, działające poza granicami kraju, a jego zadaniem jest właśnie pozyskiwanie dolarów i euro wszystkimi możliwymi kanałami, wliczając w to metody ewidentnie nielegalne. Jedną z najważniejszych osób w strukturach tej organizacji jest siostra przywódcy, Kim Jo Dzong, według magazynu „Time” personalnie odpowiedzialna za nadzorowanie przepływów walutowych.

Biuro 39 powstało jako klasyczna komórka wywiadowcza, inwigilująca zwłaszcza sąsiadów z południa, ale z czasem wachlarz jego zadań znacznie się poszerzył. Jak twierdzą dziennikarze portalu NK News, najbardziej rzetelnego źródła informacji na temat Korei Północnej, agenci biura w tej chwili trudnią się dosłownie wszystkim. Handlują narkotykami kupowanymi głównie od wenezuelskich i kolumbijskich karteli, próbując sprzedać je z kilkukrotnym przebicciem na rynkach azjatyckich, zwłaszcza w Chinach. Produkują też własne substancje, w tym opiaty, pozyskiwane z własnych zasobów maku lekarskiego, uprawianego na państwowych plantacjach. Korea Północna podrabia i wysyła w świat leki praktycznie na wszystko, od sterydów i tabletek przeciwbólowych aż po viagrę.

Podobnie rzecz się ma z dolarami, zwłaszcza banknotami studolárovymi – fałszywki z Pjongjangu są coraz lepszej jakości, problemy z ich odróżnieniem mają nawet amerykańskie służby federalne. Biuro 39 prowadzi również nielegalny handel bronią, eksportując ją do co najmniej sześciu (o tylu wiadomo) krajów Afryki Subsaharyjskiej.

Osobnym źródłem waluty są północnokoreańscy robotnicy, których Kim wysyła wszędzie, gdzie jest na

Biuro 39 powstało jako komórka wywiadowcza, inwigilująca zwłaszcza sąsiadów z południa. Z czasem wachlarz jego zadań się poszerzył.

za bardzo ma czym, bo tamtejsza gospodarka, a raczej jej szczątki, nastawiona jest przede wszystkim na produkcję żywności na własny rynek oraz na rozwój technologii wojskowej.

Biuro 39

Drastyczne ubóstwo dotyczy, według szacunków organizacji międzynarodowych, aż 60% tamtejszej populacji. Oznacza to, że ok. 15 mln osób żyje w permanentnym stanie niedożywienia, ubóstwa energetycznego, higienicznego i zdrowotnego. Pozostałe niemal 40% to już jak na warunki północnokoreańskie klasa średnia, najczęściej mieszkająca w miastach i zatrudniana albo przez partię, albo zależne od niej instytucje państwowe. Żyje się jej niewiele lepiej, ale przynajmniej nie zderza się na co dzień z zagrożeniami natury egzystencjalnej. Istnieje

Kim Dzong Un zgromadził majątek szacowany na ponad 5 mld dol. Dotyczy to oczywiście wyłącznie posiadanych przez niego dóbr, które da się wycenić według zasad gospodarki rynkowej, bo w praktyce północnokoreański dyktator jest znacznie bogatszy. Jest de facto właścicielem 25-milionowego kraju z bronią jądrową, decydując o wszystkich aspektach życia każdego ze swoich obywateli. To bogactwo innej natury, niemożliwe do oszacowania i niewymagające zapłaty. Co innego luksusowe maybachy, lexusy i lincolny stojące w jego garażu czy rolexy, które rozdaje najbliższym współpracownikom.

To wszystko kosztuje. Skąd jednak takie pieniądze na koncie autokraty, z którym nikt, przynajmniej oficjalnie, nie chce nawet rozmawiać?

Od lat głównym źródłem zagranicznej waluty jest dla Korei Północnej tzw. Biuro 39. To ofensywne ramie



Kim Dzong Un jest praktycznie właścicielem 25-milionowego kraju z bronią jądrową, decyduje o wszystkich aspektach życia każdego obywatela.

nich zapotrzebowanie. W praktyce to zwyczajne zniewolenie, niemające z pracą nic wspólnego – z każdą brygadą wysyłany jest oficer nadzorujący, który zgarnia całą wypłatę i przywozi ją reżimowi. Choć Korea jest objęta sankcjami, pokusie prawie darmowej siły roboczej nie opierają się kraje zachodnie, w tym gronie kilka lat temu znalazła się nawet Polska. A robotnicy z Półwyspu Koreańskiego robią wszystko, od budowania dolnośląskich apartamentowców, przez kopanie tuneli na zlecenie junty w Mjanmie, po stawianie pomników afrykańskich dyktatorów. Biuro 39 to finansowa kroplówka północnokoreańskiej dyktatury. Do tego stopnia, że – jak twierdzi jeden z oficerów amerykańskiego wywiadu, wypowiadający się anonimowo dla magazynu „Time” – działalność biura jest „kluczowa dla przetrwania całego reżimu”.

Hakerzy, czyli zyski

Nic jednak nie przynosi tyle zysków, ile działania hakerskie. A w ostatnich latach – ataki na spółki zajmujące się kryptowalutami. Dziennikarze „New York Timesa”

przeprowadzili śledztwo mające określić skalę północnokoreańskich działań ofensywnych w cyberprzestrzeni. Wyniki są szokujące. Tylko w 2022 r. hakerzy z Pjongjangu wyprowadzili z cudzych kont ok. 1 mld dol. To wyliczenie oparte wyłącznie na zgłoszeniach firm, które zaraportowały kradzieże. Jak piszą Choe Sang Hun i David Yaffe-Bellany z „NYT”, realna skala włamań może być nawet kilkukrotnie większa, bo niektórzy decydują się płacić Koreańczykom okup. Celem takich ataków są najczęściej giełdy kryptowalut lub platformy przyjmujące wpłaty w takiej formie, skupione np. wokół wielomilionowych społeczności graczy w konkretną grę. Jednorazowy łup może wynieść nawet 400-500 mln dol.

Co więcej, Koreańczyków bardzo trudno złapać za rękę, bo ich hakerzy osiągnęli światowy poziom. Zdaniem cytowanego przez „NYT” eksperta Narodów Zjednoczonych ds. cyberbezpieczeństwa, Erica Pentona-Voaka, są oni niezwykle metodyczni i kreatywni.

Kim Dzong Un już w 2013 r. uznał hakerów za „najbardziej wielofunkcyjną broń w swoim arsenale”,

pisze magazyn „Time”. Zdecydował wtedy także o wysłaniu ich za granicę, dzięki czemu z miejsca weszli do elity północnokoreańskiej służby wojskowej. Na co dzień często pracują z innych krajów, zwłaszcza niedemokratycznych: Rosji, Białorusi, Chin, ale też państw Azji Południowo-Wschodniej, w tym Singapuru i Malezji, przez co jeszcze trudniej przypisać ich działania do strategii Pjongjangu. W papierach najczęściej mają wpisane, że są programistami lub inżynierami, a fałszerze z Biura 39 taśmowo produkują dla nich wizy, paszporty i dokumenty potwierdzające zatrudnienie w największych korporacjach technologicznych. A najciekawsze jest to, że gdyby naprawdę im na tym zależało, we wszystkich tych firmach znaleźliby pracę bez żadnego problemu.

Rzadko decydują się na wyprowadzenie całej sumy naraz. Wolą działać w cieniu, bo najważniejszy jest cel – dostarczenie reżimowi obcej waluty. Jak zauważa Ian Bremmer, amerykański politolog i szef firmy doradczej Eurasia Group, w przeciwieństwie do hakerów z Rosji czy Iranu Koreańczykom nie zależy na poklasku i rozpoznawalności. ►

► Ich ataki rzadko będą więc cyfrowymi fajerwerkami, ale są zabójczo skuteczne. Nie wchodzą tylnymi drzwiami, prędzej czekają, aż ofiara sama wpuści ich od frontu. Jak opisują to Sang Hun i Yaffe-Bellany, zaczynają od phishingu, fałszywych wiadomości z zawirowanymi linkami, ostatnio najczęściej za pomocą serwisu branżowego LinkedIn. Kiedy już wejdą do systemu giełdy

nie mogą wyjeżdżać za granicę. Posłuszeństwa reżimowi nikt nie wypowiada, bo i tak każdy jest karmiony sterylną propagandą o uczestnictwie w walce dobra ze złem i ochronie koreańskiego narodu przed wrogiem imperializmem.

Pieniądze pozyskane z kryptohakowania są kluczowe nie tylko w codziennych operacjach państwa, ale przede wszystkim w rozwoju

więcej. Oznacza to, że reżim o nich wie i na nie zezwala, bo desperacko potrzebuje dolarów.

Sytuacja gospodarcza w kraju jest coraz gorsza, a na zniesienie sankcji nie ma szans. Mimo to Kim przyspiesza w wyścigu zbrojeń. Pokazał światu rakietę Hwasong-17, o zasięgu ponad 14,5 tys. km. Oznacza to, że przynajmniej w teorii pocisk ten mógłby dotrzeć do dowolnego miejsca na terenie Stanów Zjednoczonych. Od czasów zimnej wojny Amerykanie nie mieli tak poważnego rywala, który bezpośrednio groziłby atakiem na ich terytorium. Jak twierdzą Sang Hun i Robles, nie jest to jednak eskalacja, która koniecznie musi prowadzić do konfliktu. Kim, pisał dziennikarz „NYT”, używa rakiet jako straszaka i karty przetargowej w jednym. Najwidoczniej uznał dalsze rozwijanie krajowego arsenału za jedyny sposób na zniesienie sankcji. Brzmi paradoksalnie, ale jest w tym logika – Pjongjang będzie straszył, Zachód się ugnie, zaoferuje częściowe zdjęcie embarga handlowego za cenę wstrzymania programu nuklearnego. Na papierze wygląda to sensownie, lecz plan ten ma jeden słaby punkt. Zakłada bowiem, że świat naprawdę będzie się bał Kima i usiadzie z nim do negocjacji. A od czasu odejścia Donalda Trumpa z Białego Domu żaden światowy przywódca nie okazał

W przeciwieństwie do hakerów z Rosji czy Iranu Koreańczykom nie zależy na poklasku. Ich ataki rzadko są cyfrowymi fajerwerkami, ale są zabójczo skuteczne.

kryptowalut, pieniądze wyprowadzają stopniowo, budując w tym celu piramidę złożoną z kilku, czasem nawet kilkunastu typów kryptowalut. Wymieniają je na drugie, zacierając w ten sposób ślady.

Na końcu najważniejsza część operacji, czyli spieniężenie środków, głównie w dolarach. Erin Plante z firmy Chainalysis, zajmującej się analizą danych związanych z platformami kryptowalutowymi, zauważa, że Koreańczycy niemal natychmiast próbują dokonać konwersji. Z prostej przyczyny – hakowanie kryptowalut jest niezbędne do codziennego funkcjonowania reżimu. Ukradzione wirtualne pieniądze wymieniane są najczęściej na walutę chińską na zarejestrowanych w rajach podatkowych giełdach, takich jak głośna ostatnimi czasy, funkcjonująca na Bahamach upadła już platforma FTX. Chińskim renminbi łatwiej handlować na rynku walutowym, wymieniać na dolary, euro, czasem też na ruble.

Reżim potrzebuje dolarów

NK News szacuje, że cyfrowa armia Korei Północnej liczy ok. 7 tys. osób, z czego 1,8 tys. to aktywni „ofensywni” żołnierze – hakerzy dokonujący włamań. Pozostali, ponad 5 tys., to technicy, inżynierowie, personel wsparcia. Oni jednak w hierarchii jednostki cyberwojennej koreańskiego wojska, Biura 121, stoją niżej. Nie doświadczają luksusów i przywilejów, które są udziałem hakerów,

programu nuklearnego i dalszych testach nowych typów rakiet, co jest obsesją Kima. To właśnie rekordowa liczba prób rakietowych w 2022 r. naprowadziła dziennikarzy śledczych i służby wywiadowcze innych krajów na trop hakerów. Skąd bowiem na to fundusze? Zwłaszcza biorąc pod uwagę kolejną klęskę głodu, pojawienie się w Korei Północnej koronawirusa (z którym musieli radzić sobie własnymi środkami) i embargo na dostawę podzespołów do rakiet. Odpowiedź można znaleźć w Biurach 121 i 39, ale nie jest ona tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Dlaczego liczba ataków rośnie akurat teraz?

Koreańczycy nadal będą aktywni w cyberprzestrzeni, bo nic innego im nie pozostaje.

Choe Sang Hun w duecie z Paulem Roblesem opublikowali na początku grudnia w „New York Timesie” głośny reportaż multimedialny z Korei Północnej. Jego elementem było m.in. nagranie ze sklepu spożywczego, w którym – co teoretycznie powinno być niemożliwe – kobieta kupowała produkty zagranicznych koncernów, płacąc za nie dolarami w gotówce. Zgodnie z koreańskim prawem taka transakcja jest nielegalna, obywatele nie mogą mieć zagranicznych walut na własność. Mimo to informacje wywiadowcze płynące z Pjongjangu wskazują, że takich transakcji przeprowadza się coraz

mu nawet promila takiego zainteresowania, jakim obdarzył go były amerykański prezydent.

Koreańczycy nadal będą aktywni w cyberprzestrzeni, bo w gruncie rzeczy nic innego im nie pozostaje. Podobnie jak na Kubie, kolejnym kraju odizolowanym od reszty świata, obca waluta daje iluzję przetrwania, szansę na odrobinę normalności. Pozostaje pytanie, kiedy Kim Dzong Un zorientuje się, że jego plan zastraszenia globu nie działa. I na co wtedy zacznie wydawać ukradzione dolary.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeklad.pl

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Lamentacja noworoczna

Śniegu nasypało na ostatki martwego sezonu łąpami niebiańskimi, po kolana, od Bałtyku do Tatr, już się człowiek szykował na zimę stulecia, chodnikami sunął na biegówkach między odgarniętymi zaspami, rosnącymi z dnia na dzień jak białe barykady, aż tu przyszedł taki halny, że jak przewiał się przez góry, to i na niziny dotarł. No i święta w bloku, a w Nowy Rok piętnaście na plusie, zimo żegnaj, witaj depresjo, górale się wieszają, bo halny przestawia wszystko w ośrodkowym układzie nerwowym, kuligów nie będzie, bankructwo nadchodzi, jego lodowaty oddech wyznacza precyzyjnie na szyi miejsce pod pętlę.

Ja tam nie góral, ale też nie gorol, jak Ślązacy określają plemiona urodzone poza historycznymi granicami zaboru pruskiego; jestem człowiekiem wyżyn, acz nie tych sportowych, przeto wszelkie nastroje ludzi gór udzielają mi się łacniej niżli wahania emocjonalne większości narodu, zwłaszcza zaś wobec warszawiaków czuję odwieczne wyobcowanie i chroniczną niezdolność empatii (tylko dla jednej warszawianki moje serce przed dziesięciu laty uczyniło wyjątek).

Halny wytopił śnieg do gołej ziemi, także do kości roztopił warstwy ochronne słabych umysłów, moc antydepresantów struchlała. Alkohol przynosi kaca z pominięciem upojenia, kurorty inhalują nieprzetrawione odmiany destylatów z etykietami stylizowanymi na regionalne specjały, spontanicznie upadli w rowach rodacy mają szczęście doczekać noworocznego świtu bez odmrożeń. Narciarze klasy średniej łkają na zielonych stokach, bo się okazało, że ten sport jest już tylko dla zamożnych, kogo nie stać na alpejskie lodowce, ten sobie nie pojeździ, koniec, kropka, wyczekiwany świąteczny urlop w Beskidach, wabiący białym „szaleństwem”, przyniósł szaleństwo szare jak samorodki wczorajszego śniegu przebarwione sadzą i gorączkę białą jak myszki krążące wokół delirycznego brzasku. Nic, tylko usiąść na trawie i przepić to, co miało iść na skipassy. Hulaj duszo, żony niech tłumaczą dzieciom w dolinach, że tatusiowie nie są chorzy, tylko zmęczeni, nie da się ulepić bałwana z błota, zjeżdżać po błotnym stoku na jabłuszkach też lepiej nie, bo w pokojach ni ma pralek, a gdzież to z brązową dupą, dziecko, będziesz szło na fast oscypka, no co ludzie powiedzą. Jest ciepło i nikt się nie cieszy, co za nacja nieelastyczna, bo też wszystko musi być zawsze w porę, narty zimą, alergią wiosną, plażing latem,

grzybobranie jesienią – a Nowy Rok zawsze pierwszego, ileż można?!

Owóż, jestem w górach i czarna żółć mnie zalewa. Patrzę na górę; kto nie ma widoków na przyszłość, ten ma widoki na bieżąco. Góra jest wyzwalcą wspomnień. Ale cóż nie jest wyzwalcą, sami nimi jesteśmy: nasze dłonie przypominają o cudzych dłoniach, z którymi były splecione; nasze ciała przywołują pamięć o innych ciałach, do których Ignęły. Patrzę na Górę, przez którą przemknęła moja przeszłość, a była to przeszłość dobra, bo Góra zawsze równała emocje, tyle pamiętam, że się na niej nie kłóciłem nigdy z nikim ani też ze sobą. To nie Góra z tych, co się je zdobywa, na tę po prostu wejść, a nawet wjechać można, dostępna dla pełno- i dla niespełna sprawnych, małych i dużych, taka, co ani na niej zgłodnieć, ani być spragnionym – od baru do karczmy, od karczmy do schroniska w sam raz tyle, żeby człowiek

Patrzę na górę; kto nie ma widoków na przyszłość, ten ma widoki na bieżąco.

nieprzysposobiony do nierówności i dystansów mógł dotrzeć bez zaburzenia w kioskach, bezzadyszkowo. Ot, Góra udostępniona całorocznie, choć z naciskiem na sezony zimowe, no bo to jednak śniegi teraz przywilejem wyżynnym, a Polska nizinami leży, płaska i błotna od listopada do marca. Kto dzieciom chce bałwana ulepić albo poromansować z instruktorem narciarskim, wybiera się w góry, a najchętniej na Górę, co to i prezencję, i renomę posiada, strukturę oraz infrastrukturę jak należy. Bywało, że jadło się u stóp Góry, a i alkohole się spożywało nieskromnie, karczemną nalewką miodową ostawioną przy kominku (ale nie ma co płakać nad rozlaną wódką), w karczmie ludawej, drewnianej, gdzie góralo disco i placek po zbójnicku, i panny strojne kartą dań wachlujące. Bywało, bywało się tam w ramach pełnienia obowiązków i przyjemności, rodzinnie i przed-, a nawet pozamałżeńsko, bywało się, jak to się mówi, za życia. Nie ma co płakać, choćby było co opłakiwać; za tży nikt nie płaci. Chyba żeby się miało złote serce, a tży wyplukiwałyby jego opiłki. ■



Marsz pamięci dotarł
na żydowski cmentarz.

Pamiętamy o sąsiadach

W Orli przez wieki prawosławni i katolicy żyli w zgodzie z Żydami.
Dziś zachowują o nich pamięć

Eugeniusz Czykwin

6 listopada pojechałem do Orli, miejscowości, w której się urodziłem i wychowałem. Mieszkańcy, także dzieci i młodzież szkolna, zebrali się tego dnia, by upamiętnić wielką tragedię swoich sąsiadów – 80. rocznicę zagłady orlańskich Żydów, większości mieszkańców wsi. Przed wojną było w Orli prawie 2 tys. Żydów, ok. 1 tys. prawosławnych, określających się jako Ruscy, i kilka rodzin Polaków katolików.

Pamięć o żydowskich sąsiadach, z którymi orlanie żyli przez niemal 500 lat, a którzy jednego dnia zniknęli, była bardzo żywa w opowieściach naszych rodziców i dziadków. Z ich wspomnień dowiadaliśmy się, że każdy żył po swojemu, ale razem.

Również dziś, dzięki nagraniom na taśmach magnetofonowych i dostępnym w internecie filmom, takim jak „Kuropatwy odleciały” Jerzego Kaliny i „Zjednoczeni” Tomasza Wiśniewskiego, możemy usłyszeć to, co o Żydach opowiadali nam, urodzonym po wojnie, mieszkańcy Orli. A mówili, że Żydzi byli

bardzo nabożni, że przestrzegali świąt i w soboty prosili gojów, by rozpalali im w piecu, że tylko dwie rodziny żyły z uprawy roli, a pozostali zajmowali się handlem, byli rzemieślnikami, najbogatsi zaś właściciele dwóch kaflarni, czterech bracia Wajnsztejnowie, dbali o robotników.

– Mieli taki charakter – mówi w filmie Jerzego Kaliny Aleksandra Dęboróg – że żadnemu gojowi, tak nas nazywali, nie odmawiali pomocy.

– Pewnego razu – wspomina Maria Odziejewicz – a była to sobota, mama doznała krwotoku. Myślałam, że umiera. Pobiegłam do sąsiada Herszka, którego żona była jakby pielęgniarką. Mówię, że mama ma krwotok. Ona zaraz wzięła torebkę, nabrała lodu i pobiegła do mamy. Ja poszłam po tatę, a ten pobiegł po lekarza, który był Żydem. Obłożył ranę lodem, a potem wyjął 10 zł, a to było wtedy dużo pieniędzy, i powiedział: „Idź do apteki po zastrzyki”. Aptekarz też był Żydem i choć była już noc, to otworzył aptekę. Potem lekarz powiedział, że pieniądze możemy oddać, jak będziemy mieć.

Eugenia Chmielewska dodaje: – Miałam koleżanki Żydówki, Chaję

i Blumę. Przyjaźniłyśmy się. W szabas często chodziłam z nimi na spacer do Czarnego Lasu pod Orlą. Gdy przyszli Sowieci, to kilku naszych chłopców pożeniło się z Żydówkami. Moja rodzina jako jedyna z chrześcijańskich mieszkała w żydowskiej części. Blisko żyliśmy z naszą sąsiadką Libą, która prowadziła sklep. Gdy byliśmy w potrzebie, nigdy nie odmówiła nam pomocy. Kiedy otworzono getto, zostaliśmy wysiedleni do innej części Orli.

O wzajemnej pomocy w biedzie mówił w czasie zorganizowanej przez Gminny Ośrodek Kultury w Orli uroczystości Wojciech Konończuk. – Należy podkreślić – cytował stwierdzenie z korespondencji odnalezioną w archiwum organizacji założonej przez żydowskich emigrantów z Orli w Nowym Jorku – że relacje między Żydami i nie-Żydami w Orli zawsze były poprawne. Dowodem był fakt, że po wielkim pożarze w 1938 r., w którym spłonęło ponad 200 domów, w większości żydowskich, Żydzi przez kilka miesięcy mieszkali u swoich chrześcijańskich sąsiadów.

„O przyjaznym współistnieniu w przedwojennej Orli Żydów i chrześcijan – pisze Wojciech

Konończuk w przewodniku po Orli zrealizowanym w ramach projektu „Shtetl Routes” – świadczą wydarzenia z około 1937 r., które pojawiają się we wspomnieniach kilku najstarszych mieszkańców. Wówczas do miasteczka przyjechała kilkunastoosobowa grupa uzbrojonych w pałki endeków, prawdopodobnie z Łomżyńskiego, ich zamiarem było zniszczenie sklepów żydowskich. Wówczas w obronie »swoich« Żydów wystąpili miejscowi prawosławni, którzy skutecznie powstrzymali napastników. Ci nigdy do miasteczka nie wrócili”.

Za „pierwszych Sowietów” najbogatsze rodziny jako „kapitalistów” wywieziono do Związku Radzieckiego. Rodziny Wajnsztejnów zesłano do Kazachstanu, co uratowało je przed Holokaustem. Zagładę przeżył także wcielony w 1940 r. do Armii Czerwonej Josel Izbuki, jedyny orlański Żyd, który po wojnie został w Polsce i zmarł w 1968 r. w Bielsku Podlaskim. Z tych, którzy pozostali w Orli, nie przeżył nikt.

W marcu 1942 r. Niemcy rozpoczęli Einsatz Reinhardt – akcję zagłady Żydów z Generalnego Gubernatorstwa i Okręgu Białostockiego. W ramach tzw. ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej zamordowano ponad 1,8 mln Żydów. Prócz

Czarne albo na Kaukaz do pracy. Nie ma co żałować pozostawionych domów i dóbr. Znajdziemy tam to samo po ewakuowanych mieszkańcach tych okolic. Działo to tak, że niektóre z kobiet, ukrywające się dotychczas w chrześcijańskiej części miasta, zgłosiły się dobrowolnie. Na chłopskich furach nas, 1450 ludzi, wywieziono do getta w Bielsku. Tam prawda o ewakuacji stała się dla nas jasna. Do tej pory wierzyliśmy jeszcze w bajeczkę o Morzu Czarnym. W piątek 1450 Żydów z Orli popędzono na stację kolejową, bijąc ich przy tym okrutnie. Wepchnięto ich do wagonów towarowych po 150 ludzi”. Nieco ponad 100 Żydów, w tym rabin, wywieziono do getta w Białymstoku, resztę do obozu zagłady w Treblince, gdzie zostali wymordowani. W ciągu kilku godzin zniknęło ponad 70% mieszkańców Orli.

Dziś o wielowiekowej obecności Żydów w Orli świadczą górująca nad dawnym rynkiem synagoga i cmentarz z nielicznymi macewami. Świadczą także mieszkańcy Orli, którzy zdali egzamin z dobrego sąsiedztwa w przeszłości i zdają go teraz. W ramach obchodów 80. rocznicy zagłady orlańskich Żydów zorganizowano spotkanie z pisarką Patrycją Dołowy,

wypisane: Bertman Enia, Bertman Gitta. Wymieniając te imiona, pomyślałem, że może któraś z nich to ta dziewczynka, o której opowiadała nam mama mojej szkolnej koleżanki Basi Dęboróg. Gdy wyganiano Żydów z getta, jej przyjaciółka potknęła się i upuściła leki swojej matki. Gdy pochyliła się, by je pozbiierać, podszedł do niej hitlerowiec i ją kopnął.

Rada Gminy Orla podjęła uchwałę upamiętniającą zagładę orlańskich Żydów. Odczytał ją wójt Leon Pawluczuk: „Rada Gminy Orla w 80. rocznicę zagłady orlańskich Żydów składa hołd wszystkim ofiarom Holokaustu i nazistowskiej maszyny śmierci. Niech pamięć o dramatycznych wydarzeniach II wojny światowej będzie ważnym i trwałym elementem edukacji dla pokoju – lekcją, która przeniknie ludzkie serca, skruszy bariery nienawiści, podziałów i uprzedzeń, będzie ostrzeżeniem przed obojętnością i biernością wobec wrogości wywołanej rasizmem, antysemityzmem, szowinizmem, wyrazem sprzeciwu i potępienia dla ludobójczych działań. Wieczna pamięć i cześć ofiarom Holokaustu”.

Uczestniczący w uroczystościach dyrektor Fundacji Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego Piotr Puchta podziękował władzom i mieszkańcom gminy za zaangażowanie w ochronę pamięci – tej symbolicznej i tej materialnej – o żydowskich sąsiadach.

Ja także podziękowałem krajanom, w szczególności za przekazywanie dzieciom i młodzieży pamięci o żyjących tu sąsiadach naszych przodków. Poprosiłem również o wsparcie moich starań o to, by w budżecie znalazły się 2 mln zł na rozpoczęcie prac renowacyjnych orlańskiej synagogi. W 2021 r. moja poprawka została odrzucona głosami posłów koalicji rządzącej.

Wyjeżdżałem z mojej Orli ze smutnymi myślami o losach wspomnianych mieszkańców, o okrucieństwie ludzi przekonanych o swojej wyższości, zaślepionych nienawiścią. Jednocześnie odczuwałem pewien rodzaj satysfakcji, może nawet dumy zarówno z tych, którzy żyli w zgodzie z należącymi do innego narodu sąsiadami, jak i z tych, którzy zachowywali o nich pamięć. ■

W ciągu kilku godzin zniknęło ponad 70% mieszkańców Orli.

wspomnień mieszkańców historię zagłady żydowskiej Orli pomaga zrekonstruować odnaleziona w Izraelu kilkustronicowa relacja ostatniego orlańskiego rabina Eliego Helperna, którą napisał kilka dni przed śmiercią w białostockim getcie. „W marcu 1942 r. cała ludność żydowska została zamknięta w getcie na małym obszarze w centrum Orli, które otoczono drewnianym płotem. Ciasnota, głód i szerzące się choroby powodowały dużą umieralność”.

Helpern wspomnienia kończy słowami: „Tego, co się wydarzyło, a dokładniej mówiąc likwidacji miasteczka w listopadzie 1942 r., nie przewidzieliśmy. W poniedziałek, 2 listopada, dzielnica żydowska została otoczona. Powiedziano nam, że zostaniemy wywiezieni nad Morze

autorką książki „Skarby”, i koncert zespołu Viglid, który zaprezentował żydowskie kołysanki, opracowane przez Różę Ziątek-Czarnotę oraz Bellę i Dorotę Szwarcman. Mieszkańcy Orli wraz z przybyłymi gośćmi w marszu pamięci przeszli na żydowski cmentarz. By odmówić kadsisz, czyli żydowską modlitwę za zmarłych, wymagana jest obecność co najmniej 10 Żydów. – To symboliczne – zwrócił się do zebranych Dariusz Szadach-Borzyszkowski – że w miasteczku, które niegdyś było w większości zamieszkane przez społeczność żydowską, nie ma obecnie ani jednego jej przedstawiciela.

Po wysłuchaniu 24. psalmu Dawida zebrani odczytywali nazwiska mieszkańców Orli, którzy zginęli w Treblince. Na mojej kartce były

Pragnienie totalitaryzmu

Trudno się zgodzić ze stwierdzeniem,
że narodowy socjalizm mógł zostać Niemcom narzucony.
On się przyjął, bo społeczeństwo było na to gotowe

Rozmawia Marcin Ogdowski

W kręgu pani zainteresowań badawczych znajdują się historia II wojny światowej i zagadnienia związane z totalitaryzmem.

– A im dłużej tym się zajmuję, tym bardziej mam wrażenie, że coraz mniej z tego rozumiem.

Bo?

– Czasami nie mieści mi się w głowie, do jakich rzeczy jesteśmy zdolni jako ludzie. I niestety prawdą jest, że historia lubi się powtarzać. Odnoszę wrażenie, że nie wyciągamy wniosków z tego, co już spotkało nas w przeszłości.

Hitler doszedł do władzy legalnie i Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę, z czym się wiąże jego obłąkańcza ideologia.

Spotkał nas np. niemiecki nazizm. Niebawem ukaże się pani książka o Heinrichu Himmlerze, bawarskim agronomie, który w styczniu 1929 r., mając niespełna 29 lat, objął funkcję Reichsführera SS, „głowy” tej formacji.

– W potocznym, ahistorycznym podejściu do tematu nie uwzględnia się faktu, że mówimy o okresie sprzed powstania III Rzeszy, w którym SS nie była jeszcze tym, czym stała się później.

Fakt, początek III Rzeszy to rok 1933. Czyli dopiero wtedy możemy uważać Himmlera za drugą po Adolfie Hitlerze najważniejszą osobą w Niemczech?

– Myślę, że nie wszyscy historycy zgodzą się ze stwierdzeniem, że Himmler był numerem dwa w III Rzeszy. Według mnie na końcowym etapie kariery politycznej był. A sukces

zapewniła mu właśnie jego Schutzstaffel, która w istocie na początku była organizacją nie tylko nieliczną, ale też niemającą wielkiego znaczenia w strukturach NSDAP. Kiedy Himmler został Reichsführerem, w skład SS wchodziło ośmiu mężczyzn. Ich zadaniem była ochrona narodowo-socjalistycznych dygnitarzy w trakcie wieców partyjnych.

Dziesięć lat później w szeregach SS było już prawie 260 tys. osób.

– A trzeba pamiętać, że Himmler znacznie zmienił kryteria przyjęcia, które stały się szalenie rygorystyczne. I mimo tych wysokich wymogów wielu niemieckich mężczyzn bardzo chciało wstąpić do organizacji. Poza

Z uwzględnieniem takich aspiracji skonstruowano mechanizm rekrutacji do SS. Mało kto ma świadomość, że akces kosztował.

– Żeby ubiegać się o przyjęcie w szeregi SS, trzeba było w pierwszej kolejności spełnić wymogi fizyczne, m.in. mierzyć 170 cm i mieć najlepiej niebieskie oczy, blond włosy oraz ciało proporcjonalnej budowy. Poza tym należało udokumentować pochodzenie, przedstawiając wykaz przodków do 1750 r. Przyszli esesmani musieli sięgnąć do wielu ksiąg parafialnych, przedstawić akty urodzenia, ślubu czy zgonu przodków, co wymagało nie tylko nakładu finansowego, ale i czasu.

Odpowiednia budowa fizyczna i pochodzenie to nie wszystko.

– Ważna była również postawa. Himmler oczekiwał bezwarunkowej wierności, lojalności i posłuszeństwa. Przełożyło się to zresztą na oficjalne hasło SS: „Moim honorem jest wierność” (Meine Ehre heißt Treue). Dlaczego było to tak ważne? Bo tak zideologizowani i podporządkowani władzy ludzie dawali gwarancję bezdyskusyjnego wykonywania rozkazów. II wojna światowa pokazała później, z jak wielkim zaangażowaniem ci posłuszni esesmani wypełniali swoje obowiązki, niezależnie od tego, czy wchodzili w skład załóg obozów koncentracyjnych, pełnili funkcje typowo administracyjne, czy aktywnie mordowali

tym SS szybko zaczęła rosnąć w siłę w sensie politycznym i stała się istotnym dla władzy organem wykonawczym. Nic dziwnego, że dziś jest nazywana czarną elitą – pod względem rasowym miała przecież uosabiać najbardziej pożądane przez narodowych socjalistów cechy genetyczne – albo państwem w państwie, z uwagi na zakres posiadanej władzy.

Przyjrzyjmy się kwestii nowej elity, która miała być zaczął nowego niemieckiego społeczeństwa – czystego rasowo narodu.

Dr Alicja Bartnicka – adiunktka na Wydziale Nauk Historycznych UMK. Specjalistka w zakresie historii Niemiec, zwłaszcza dziejów III Rzeszy, systemów totalitarnych, ze szczególnym uwzględnieniem narodowego socjalizmu i włoskiego faszyzmu. Jej zainteresowania badawcze obejmują także niemiecką okupację w Polsce i Holokaust. Na początku 2023 r. ukaże się jej książka „Światopogląd w działaniu. Heinrich Himmler i jego wizja rasowego imperium Trzeciej Rzeszy”.

DR ALICJA BARTNICKA

– historyczka z Uniwersytetu
Mikołaja Kopernika w Toruniu



ludność żydowską jako członkowie Einsatzgruppen po wybuchu wojny na Wschodzie.

Z perspektywy współczesnej nauki koncepcja dobrej krwi co najmniej trąci naiwnością. Reichsführer był pryncypialny czy dopuszczał odstępstwa od wzorców aryjskości? A one same – czy zmieniały się w czasie? Pod koniec III Rzeszy mieliśmy przecież Waffen-SS, do której wcielano „poślednie rasy”.

– Waffen-SS to zupełnie inny wątek. Jeśli chodzi o rdzenną SS, problem pojawiał się, gdy w drzewie genealogicznym kandydata odnaleziono żydowskiego przodka. To zamykało drogę do formacji.

A jak reagował Himmler na negatywne wyniki weryfikacji już będących w służbie esesmanów?

– Różnie. W odniesieniu do niższych stopniem nie było zmiłuj. Żydowskie korzenie oznaczały relegowanie. Inaczej traktowano esesmanów wyższych rangą, dowódców. Himmler pochylał się nad każdym przypadkiem i go analizował. Znamy sprawy, kiedy udowodnienie żydowskiego pochodzenia powodowało, że Reichsführer zakazywał dalszego płodzenia dzieci przez obarczonego

niechcianym pochodzeniem podwładnego. Poza tym zaznaczał, że dzieci, które ów esesman posiada, nigdy nie staną się częścią elitarnej formacji. Co istotne, objętych „aktem łaski” obowiązywała tajemnica. Himmler przecież nie wykluczył ich z organizacji, pod pewnymi warunkami, ale pozwolił im zostać, jednak wiadomości o odstępstwach nie powinny się rozchodzić wśród esesmanów.

„Mein Kampf” do końca 1944 r. sprzedała się na terenie Rzeszy w nakładzie prawie 13 mln egzemplarzy.

Czy łamanie zasad przychodziło Himmlerowi łatwo?

– Nie, odpierał wszelkie podejmowane przez współpracowników próby złagodzenia kryteriów przyjęcia do SS. Kryteria te obowiązywały zresztą do końca wojny, a jeżeli kandydaci ze względu na wojenną zawieruchę nie byli w stanie przedłożyć wszystkich wymaganych w procesie rekrutacji dokumentów, oczekiwano wypełnienia wymogów, jak określał to Himmler, „w czasie, kiedy będzie to możliwe”.

Mieliśmy zatem do czynienia z członkostwem warunkowym?

– Coś w tym stylu, ale tylko w niektórych przypadkach.

To co z tym Waffen-SS?

– Po pierwsze, trzeba zaznaczyć, że początkowo członkowie tych dywizji rekrutowali się spośród esesmanów. Himmler nie miał przełożenia na wojsko, dlatego postanowił zbudować własne. SS była elitarna, więc Waffen-SS też mogła i miała taka być. Ale sytuację zmieniła wojna – III Rzesza rozpaczliwie potrzebowała rekruta, dlatego do Waffen-SS zaczęto wcielać ochotników. I znów początkowe założenia w pewnym sensie szły po linii ideologicznej, bo wcielani mężczyźni mieli się wywodzić z ludów germańskich, określanych jako pobratymcza krew. Rekrutacja germańskich ochotników w okresie zwycięstw na Wschodzie objęła Holandię, Danię, Norwegię, Finlandię, a nawet Belgię czy Francję.

Rzesza uznawała to za symbol zjednoczenia „całej Europy”, co w przemówieniach zwykł zaznaczać Hitler.

– Zgadza się. Lecz klęski ponoszone na Wschodzie skomplikowały sytuację. Hindusi, Arabowie, Albańczycy, Chorwaci czy Bośniacy zasilali szeregi Waffen-SS, bo Niemcy po prostu potrzebowali mięsa armatniego. Nie było w tym „poszerzania granic aryjskości”, co sugerowali niektórzy zachodni badacze. Nie było odstępstwa od reguł ustanowionych

przez Himmlera. Był wyłącznie pragmatyzm. Sam Himmler w czerwcu 1944 r. wydał zarządzenie, zgodnie z którym niegermańskie dywizje Waffen-SS miały być określane mianem Waffen-Divisionen SS. Ta nazwa sugerowała, że są to związki taktyczne podległe SS, a nie do niej przynależne. Mężczyźni w nich służący, jak podkreślał Reichsführer, nie byli esesmanami.

Istnienie SS wpisywało się w rasistowską ideologię III Rzeszy – co do zasady. Ale czy w szczegółach

► **również? Na ile esesmański zaczął być autorskim projektem Himmlera, a ile w tym było Hitlera?**

– W moim odczuciu SS niemal od początku do końca była projektem Himmlera. Hitler rzecz jasna stworzył podstawy tej organizacji. Jego centralna rola, nie tylko w strukturach władzy, ale także w aspekcie ideologicznym narodowosocjalistycznego państwa, jest niepodważalna. On wyznaczył kurs, którym podążyli podlegli mu dygnitarze i niemieckie społeczeństwo. Niemniej jednak w przypadku SS wpływ Hitlera na organizację ograniczał się właściwie do utrwalenia na jej gruncie wymogów czystości rasowej. Reszta to Himmler. Zwykłam mawiać, że choć Himmler nie był założycielem SS, to bez wątplenia był jej twórcą.



Heinrich Himmler w rozmowie z uczniem warsztatów przykładowych. Październik 1944 r.

To, co dawniej było nienawiścią rasową, skierowaną przeciwko Żydom, dziś stało się nienawiścią wymierzoną w imigrantów. Tego należy się obawiać.

SS z czasem zapewniła Reichsführerowi awans polityczny i szerokie wpływy. Z czego to wynikało?

– Poniekąd ze sposobu, w jaki Hitler sprawował władzę. On nie wydawał bezpośrednich, precyzyjnych rozkazów. Weźmy przykład *Endlösung der Judenfrage*, ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Mamy odnoszący się do tego rozkaz? Otóż nie. A mimo to w trakcie wojny zamordowano 6 mln Żydów. Hitler nie formułował myśli w jednoznaczny sposób. Wyrażał oczekiwania w postaci dość mglistych stwierdzeń i ogólników, co często dawało szerokie pole do interpretacji. SS w pewnych aspektach to prawdopodobnie interpretacja poglądów Hitlera, które, co chciałabym podkreślić, zostały „twórczo rozwinięte” przez Himmlera. Między nimi było zresztą dużo różnic, bo o ile sama SS była na rękę Hitlerowi, o tyle ekspedycje do Tybetu w poszukiwaniu początków rasy aryjskiej czy odwoływanie się do kultu Teutonów już niekoniecznie. Hitler często krytykował czy wręcz wyśmiewał działania Himmlera. Ale na słownych upomnieniach w zasadzie się kończyło.

Nietykany Himmler?

– Jak już wspominałam, SS była istotnym narzędziem wykonawczym władzy. Himmler trzymał organizację w garści, więc Hitler tolerował jego dziwne fascynacje. Nie zmienia to faktu, że III Rzesza monolitem nie była.

A czy w relacji władza-społeczeństwo mieliśmy do czynienia z monolitycznym konstruktem? Nieraz spotykamy się z narracją, która sugeruje, że nazizm został Niemcom narzucony, był ciałem obcym.

– Trudno mi zgodzić się z takim stwierdzeniem. Narodowy socjalizm się przyjął, bo społeczeństwo było na to gotowe. Oczywiście możemy dyskutować o rozgoryczeniu po przegranej I wojnie światowej i kryzysie gospodarczym, który później dotknął ten kraj. Ale nie da się zaprzeczyć faktom, że Hitler doszedł do władzy legalnie i że Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę, z czym wiąże się jego obłąkańcza ideologia. Dowód? „Mein Kampf”, wykładnia narodowosocjalistycznych idei, do końca 1944 r.

sprzedała się na terenie Rzeszy w nakładzie prawie 13 mln egzemplarzy. A przypomnę, że populacja Niemiec przed wojną to jakieś 69 mln obywateli. I nawet jeśli nie wszyscy przeczytali „biblię nazizmu” od deski do deski, trudno uwierzyć, że ci ludzie chociażby nie otworzyli tej książki. Oni kupowali „Mein Kampf”, kiedy rosła popularność Hitlera, właśnie po to, by zobaczyć, co przyszły dyktator ma do powiedzenia. Poza tym nie zapominajmy, że Hitler cieszył się ogromnym poparciem społecznym aż do końca wojny.

Usprawiedliwianie się „zwykłych Niemców” często sprowadza się do argumentu, że oni „nie mieli pojęcia, co działo się zwłaszcza na Wschodzie”. Holokaust i brutalne okupacje rozgrywały się poza ich horyzontem poznawczym.

Hitler cieszył się ogromnym poparciem społecznym aż do końca wojny.

– Zwykli Niemcy wiedzieli. Pewnie nie wszyscy i nie wszystko, ale świadomość społeczna tego, co się dzieje na froncie czy w obozach koncentracyjnych, była. Powiem więcej – wielu z tych, którzy stacjonowali na Wschodzie, chwaliło się dokonywanymi tam zbrodniami. Członkowie Einsatzgruppen robili

sobie zdjęcia w trakcie masowego rozstrzelania Żydów i później wysyłali je do rodzin w Rzeszy. Byli dumni z tego, w czym uczestniczą. Fotografowania i wysyłania zdjęć zabronił dopiero Himmler, wydając oficjalny rozkaz w tej sprawie. Doskonale wiedział, jaki ciężar gatunkowy może mieć tego rodzaju materiał dowodowy. Miał rację, bo dzięki tej dokumentacji, a mam na myśli nie tylko zdjęcia, ale i statystyki przygotowywane przez Einsatzgruppen, wiemy dzisiaj dokładnie, jaka była skala tych zbrodni i z jakim zaangażowaniem ich dokonywano.

Współcześni Niemcy wydają się aż nadto pacyfistyczni, kraj jawi się jako tolerancyjny. RFN to potęga gospodarcza, ale nie militarna. Z drugiej strony brunatna AfD stała się częścią politycznego mainstreamu, a wojsko co jakiś czas demaskuje w szeregach kolejne grupy neonazistów. Ostatnio głośno było o radykałach, którzy w drodze zamachu stanu pragnęli przejąć władzę i zbudować IV Rzeszę. Czy Niemców należy się bać? W tej chwili pewnie nie, ale w dalszej perspektywie?

– Pewne złowrogie idee niestety nie umarły. Niemieckiego państwa bać się nie trzeba, co nie zmienia faktu, że grupy neonazistowskie w dalszym ciągu funkcjonują. I to nie tylko za naszą zachodnią granicą. Kiedy byłam na stypendium w Waszyngtonie, poznałam osobę, która badała środowiska neonazistów w Stanach i ich powiązania z grupami z Niemiec. Przyznam szczerze, zaskoczyła mnie skala tego problemu, podobnie jak sposoby wykorzystania np. amerykańskiej wolności słowa i rosnącej łatwości globalnej komunikacji, aby obejść niemieckie przepisy cenzury, przesłać propagandę przez ocean i zmobilizować młodsze pokolenie niemieckich neonazistów. To, co dawniej było nienawiścią rasową, skierowaną przeciwko Żydom, dziś stało się nienawiścią wymierzoną w imigrantów, osoby ubiegające się o azyl i już osiadłych „obcokrajowców”. Tego należy się obawiać.

Totalitarne narracje odnajdujemy także w Polsce. Język naszej poli-

tyki przesiąknięty jest nienawiścią, promuje wykluczenia. Przypomina niemieckie „zaprowadzanie porządków” w początkowej fazie, gdy dotyczyło „posprzątania u siebie”. Z drugiej strony mamy rozlądle państwo, którego potencjał opresji może i nie jest symboliczny, ale też nie rodzi egzystencjalnych lęków.

Czy są powody, by bić na alarm?

– Ucząc studentów, staram się im pokazywać, do czego kiedyś doprowadziły podziały na lepszych i gorszych, jakie mogą być konsekwencje wykluczenia, jak wielki

wpływ na społeczeństwa mają ideologie i jak niewiele czasami potrzeba, żeby wywołać falę nienawiści przeciwko pewnym grupom. Cieszę się, bo mam przyjemność pracować z fantastycznymi ludźmi, którzy potrafią wyciągać wnioski. I pokładam w nich nadzieję na lepsze jutro. Bo oni doskonale wiedzą, co jest dziś nie tak, mają swoje zdanie i potrafią trzeźwo oceniać aktualną sytuację.

Oby takich więcej.

– Oby!

Marcin Ogdowski

Rzecznik Finansowy

Jak Rzecznik Finansowy pomaga klientom?

- **Poradnictwo:** udzielamy porad mailowych i telefonicznych
- **Postępowania interwencyjne:** stajemy po stronie klienta po odrzuceniu reklamacji przez podmiot rynku finansowego
- **Postępowania polubowne** prowadzone przez bezstronnych i niezależnych ekspertów z zachowaniem poufności
- **Istotne poglądy** na etapie postępowania sądowego
- **Wnioski o uchwałę Sądu Najwyższego** w razie dostrzeżenia istotnych rozbieżności w orzecznictwie
- **Działania systemowe** w przypadku problemu na rynku, który powtarza się i dotyczy wielu osób

Codziennie na straży Twoich finansów!

www.rf.gov.pl

Zapomniani krewni Gabriela Narutowicza

Córka Anna znalazła schronienie
w przyklasztornym zakładzie opiekuńczym w Chełmnie,
syn Stanisław wyjechał do Szwajcarii

Bogumił M. Woźniakowski

Zamordowany 16 grudnia 1922 r. pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Gabriel Narutowicz pochowany został w podziemnej krypcie katedry św. Jana w Warszawie. Spoczywa tam w granitowym sarkofagu, ufun-dowanym w 1928 r.

Mało znane natomiast są losy i miejsca pochówku jego najbliższych. W sierpniu 1901 r. Narutowicz poślubił Ewę Krzyżanowską, koleżankę z uczelni, wcześniej narzeczoną pisarza Wacława Berenta. Z tego związku miał dwójkę dzieci, Stanisława (1902-1951) oraz Annę (1907-1987). Żona Narutowicza popadała w stany depresyjne. Niektórzy uważali, że wiązały się z niespełnioną miłością do znanego literata. Jednak bardziej prawdopodobne było to, że przyczyniała się do nich choroba córki. Rozwój Anny bowiem, po przebyciu przez nią zapalenia opon mózgowych, zatrzymał się na etapie trzyletniego dziecka. Na to wszystko nałożył się wykryty u Ewy rak, który spowodował jej przedwczesną śmierć w wieku 45 lat w lutym 1920 r.

Po śmierci żony i zamknięciu swoich spraw w Szwajcarii, gdzie oprócz tego, że był profesorem na politechnice w Zurychu, prowadził własne biuro inżynierskie, Narutowicz powrócił do kraju. Zabrał ze sobą Annę, Stanisław natomiast wrócił dopiero w roku 1922, po zdaniu matury w Szwajcarii.

W czerwcu 1922 r. jako minister robót publicznych Narutowicz wizytował okolice Torunia, odwiedzając

również Chełmno. „Nadwiślanin” w nr. 36 z 18 czerwca 1922 r. na pierwszej stronie informował: „Minister Narutowicz na Pomorzu. Pan Minister robót publicznych Inż. Narutowicz przybył dnia 10.06. do Torunia i udał się w towarzystwie Pana wojewody Brejskiego i Pana starosty krajowego Dr. Wybickiego samochodem przez Chełmno do Gródka pod Laskowicami na inspekcję krajowej elektrowni”.

Natomiast w publikacji „Powiat i miasto Chełmno. Monografia krajoznawcza według współczesnego stanu z mapą powiatu i 19 widokami miasta” w opracowaniu profesora gimnazjum Jana Tomasza Dziedzica

Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. Najprawdopodobniej to wówczas podjął decyzję o umieszczeniu córki w tym ośrodku. Z ustnych informacji, uzyskanych od sióstr (bo żadnych dokumentów na ten temat w archiwum klasztornym nie ma) wynika, że przekazał zakonowi sporą donację, zabezpieczającą pobyt córki. Należy przypuszczać, że była ona przekazana raczej we frankach szwajcarskich niż w słabej ówczesnej polskiej walucie, marce polskiej. Anna spędziła w Chełmnie resztę życia, zmarła 7 maja 1987 r., przeżywszy prawie 80 lat. Została pochowana na miejscowym cmentarzu parafialnym we wspólnym

W 2013 r. na nagrobku brata prezydenta zatarto polski napis „Grób Rodziny Narutowiczów” i umieszczono tablicę ze zlituanizowanym nazwiskiem. W 2016 r. po interwencji strony polskiej przywrócono poprzednią wersję.

oraz dr. Pawła Ossowskiego, byłego starosty chełmińskiego, wydanej w Chełmnie w 1923 r., w kronice wydarzeń za rok 1922 możemy przeczytać (s. 69): „W Chełmnie przez kilka godzin bawił Minister Robót Publicznych Narutowicz, w towarzystwie b. Ministra b. dz. pr. p. Dr. Wybickiego, Wojewody Pomorskiego p. Brejskiego i starosty chełmińskiego Dr. Ossowskiego, samochodem udał się na miejsce budującej się wodnej Elektrowni Pomorskiej w Gródku, celem obejrzenia robót”.

Podczas wizyty w Chełmnie Narutowicz miał sposobność odwiedzić przyklasztorny zakład opiekuńczy, prowadzony przez Zgromadzenie

grobie z jedną z sióstr zakonnych. Obecnie jej grobem opiekuje się lokalne koło przewodników wraz ze Społecznym Komitetem Opieki nad Grobami Zasłużonych Chełminian. Osobą, która niejako „odkryła” postać Anny dla lokalnej społeczności, jest Anna Grzeszna-Kozikowska, starszy kustosz Muzeum Ziemi Chełmińskiej. Już w 1997 r. opublikowała ona w lokalnej prasie krótki tekst „Córka i zabójca w chełmińskim grodzie” („Czas Chełmna” nr 1/1997).

Syn Narutowicza Stanisław specjalnie niczym się nie wyróżnił. Jego żoną została Maria Krzyżanowska (1904-1951). Miał córkę Zofię (urodzoną w 1930 r.). Dzięki posiadaniu



Grób córki Anny na cmentarzu parafialnym w Chełmnie (stan obecny).

Jedyna zachowana podobizna córki Anny (fotografia nagrobna).



Nagrobek bratanka Kazimierza na poznańskim cmentarzu na Miłostowie.



obywatelstwa szwajcarskiego po wybuchu II wojny światowej, po wielu perypetiach, udało mu się wraz z rodziną przedostać do Szwajcarii, gdzie pozostał do końca życia. Według niepotwierdzonych informacji, uzyskanych przez Annę Grzeszną-Kozikowską od jednej z sióstr, w latach 40. XX w., będąc krótko w Polsce, odwiedził siostrę w ośrodku.

Niejako ostatnim akcentem aktywności najbliższych Gabriela Narutowicza były pod koniec XX w. starania wnuczki prezydenta, Zofii Lardelli-Narutowicz, o odzyskanie willi przy Parkowej 23 w Warszawie, która pełniła funkcję prywatnego mieszkania prezydenta, a po jego zamordowaniu przeszła na własność rodziny. O tych staraniach informowała „Rzeczpospolita” w tekście „Naród dał, dekret zabrał” z 1 października 1998 r.

Gabriel Narutowicz miał brata Stanisława, który po ukończeniu prawa na Uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie (choć rozpoczął

studia w Petersburgu) osiadł w rodzinnym majątku w Brewikach, leżącym w północno-zachodniej części Żmudzi (obecnie to pogranicze litewsko-łotewskie). Był działaczem społecznym i politycznym w Republice Litewskiej, członkiem Taryby, Litewskiej Rady Państwowej, sygnatariuszem Aktu niepodległości Litwy z lutego 1918 r., radnym okręgu Telsze w latach 1919-1931. Jego żoną była Joanna Billewicz, kuzynka Piłsudskiego. Z tego związku urodził się w 1904 r. syn Kazimierz. W 1932 r. Stanisław popełnił samobójstwo, co do motywów którego

polscy i litewscy historycy mają rozbieżne zdania. Polscy uważają, że przyczyniło się do niego rozczarowanie kłótniowością i nieprzejednaniem Polaków oraz polityką rządu litewskiego w stosunku do Polaków na Litwie, natomiast litewscy, że powodem były kłopoty zdrowotne i rodzinne. Stanisław Narutowicz został pochowany na cmentarzu w miasteczku Olsiały (obecnie w okręgu telszańskim, w rejonie płungiańskim). W 2013 r. zdewastowano historyczny nagrobek, zacierając polski napis „Grób Rodziny Narutowiczów” i umieszczając tablicę ze zlituanizowaną formą nazwiska. W 2016 r. dzięki interwencji strony polskiej przywrócono poprzednią wersję.

Syn Stanisława Kazimierz do 1940 r. gospodarował w rodzinnym majątku i udzielał się społecznie. Po inkorporacji Litwy przez Związek Radziecki został zesłany do Kraju Ałtajskiego, a po zakończeniu II wojny zamieszkał w Poznaniu, gdzie zmarł

w 1987 r. i jest pochowany na tamtejszym cmentarzu na Miłostowie (pole 41, kwatera 4A, rząd 4, miejsce 7). Wspomnienie o nim, zatytułowane „Narutowicz z Poznania – łudzko podobny do stryja Gabriela, zamordowanego Prezydenta RP”, zamieścił Waldemar Łazuga w internetowym wydaniu poznańskiej „Gazety Wyborczej” z 14 grudnia 2015 r. Tu trzeba zaznaczyć, że prof. Łazuga, wspólnie z prof. Januszem Pajewskim, jest autorem biografii Narutowicza „Gabriel Narutowicz. Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej” (Warszawa 1993).

Medycyna nie jest jak matematyka

Minęło 55 lat od pierwszej udanej transplantacji serca.
Czym dziś zajmuje się kardiochirurgia?

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Dlaczego pan profesor wybrał kardiochirurgię?

– Medycyna zabiegowa to było coś, z czym, wydaje mi się, siedłem na studia. Mój ojciec był ogólnym chirurgiem w Oleśnie Śląskim, to była duża inspiracja. Znajdowałem go jako zupełnie inną osobę w domu, a inną w pracy, co mnie fascynowało. W trakcie studiów byłem członkiem koła studenckiego przy Klinice Chirurgii Serca i Naczyń w Katowicach-Ochojcu i to był mój pierwszy kontakt z chirurgią kliniczną. Miałem możliwość poznać legendarne nazwiska, jeszcze w epoce przed powstaniem Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu. Wtedy próbowano reaktywować kardiochirurgię z czasów prof. Tadeusza Paliwody, właśnie w Ochojcu, gdzie prof. Roman Adamczyk przy udziale i dużym wsparciu prof. Jana Molla i prof. Antoniego Działkowiaka przeprowadzał pierwsze operacje kardiochirurgiczne na Śląsku z użyciem śląskiego płucoserca – jego współtwórcą był prof. Zygmunt Antoszewski. To historyczne postacie, ale tak to się dla mnie zaczęło. Potem rok 1985, kiedy prof. Zbigniew Religa wykonał pierwszą udaną transplantację i właściwie narodziła się w Polsce współczesna kardiochirurgia. Wiodącymi ośrodkami były wówczas Kraków, Zabrze właśnie i Warszawa.

Podążając swoją ścieżką, po uzyskaniu specjalizacji z chirurgii ogólnej kontynuowałem rozwój z zakresu kardiochirurgii już u prof. Andrzeja Bochenka w Ochojcu.



**DR HAB. N. MED.
MAREK CISOWSKI**

To były jednak czasy ograniczonych możliwości w polskiej medycynie.

– Wszystko trzeba odnieść do czasu i realiów, kończyłem studia w połowie lat 80., w kraju, gdzie medycyna nie była szczególnie rozwinięta, w wielu zakresach wręcz w defensywie. Mojemu młodemu wtedy pokoleniu wydawało się, że jest w stanie wszystko dźwignąć, że powywraca świat do góry nogami. Nie mieliśmy za dużo możliwości wyjazdów zagranicznych, ale te warunki chyba dodatkowo mobilizowały. Będąc studentem, podziwiałem np. neurologów, ich niebywale logiczny proces diagnostyczny, to, że można dobrym badaniem fizykalnym niejedną rzecz rozwiązać. Taka prawdziwa logika. Natomiast jak przychodziło do tego, żeby chorym realnie pomóc, to

w wielu jednostkach chorobowych możliwości były bardzo ograniczone. Mimo że potrafimy sprecyzować przyczyny i ośrodki odpowiedzialne za jakiś problem, często jesteśmy bezradni. A chirurg działa w sposób bardzo konkretny, oczywiście tam, gdzie to możliwe, jako chirurg jest w stanie zrobić wiele i to jest poczucie konkretnego działania, zwłaszcza w sytuacjach zagrożenia życia pacjenta. Można odpowiednią interwencją uratować choremu życie, każdy chirurg czy zabiegowiec na pewno z czymś takim się zetknął i to jest niesamowicie budujące.

To jest ten moment bycia bogiem?

– Nie siedłbym tak daleko, natomiast jest to coś, co wynagradza całą resztę niedogodności związanych z zawodem i z codziennością, bo to

duża satysfakcja dla lekarza, że jest w stanie w pewnych sytuacjach przyłożyć rękę i troszeczkę odwrócić los pacjenta. Olbrzymia część sukcesów chirurgii zależy od prawidłowego kwalifikowania chorych, medycyna ma to do siebie, że nie jest jak matematyka, gdzie słupki się zgadzają. Zawsze czekają różne odstępstwa od norm. Nie wszystko da się zaszeregować w ścisłe formuły postępowania, algorytmy, wówczas można by lekarzy zastąpić urządzeniem mechanicznym, sztuczną inteligencją. To też jakaś ścieżka w medycynie, na pewno przyszłość, ale to człowiek mimo wszystko ma te sznurki w ręce.

Jak przez te pół wieku od pierwszej transplantacji serca zmieniły się choroby serca? Czy zmiany cywilizacyjne, styl i warunki życia mają tu znaczenie?

– Na pewno obserwuję w swoim życiu zawodowym trend, że część chorób serca jest spowodowana warunkami, w jakich żyjemy: sposobem odżywiania się, tym wszystkim, co wpływa na tworzenie się pewnych cech, które częściowo przekazujemy następnym pokoleniom. Miażdżyca tętnic obejmuje znakomitą większość populacji i jest wyzwaniem cywilizacyjnym numer jeden. Jej skutkiem są udary mózgu, zawały serca, zmiany, które prowadzą do niedokrwienia innych narządów, i to w tym pędzącym świecie przy stylu życia, jaki prowadzimy, jest przyczyną największej liczby zgonów w populacjach nie tylko europejskich. Olbrzymi postęp zrobiła jednak, zwłaszcza w ostatnich kilkudziesięciu latach, kardiologia.

W jaki sposób?

– To ona utorowała ścieżkę do przełamania stanu, że z powodu choroby niedokrwiennej serca tak wiele osób umierało, szczególnie w przebiegu zawału serca. Rozwój przeszłonnych technik naprawczych,

jeśli chodzi o tętnice wieńcowe, spowodował, że zredukowała się w sposób wręcz spektakularny śmiertelność w ostrym zawałe serca, czymś, co kiedyś leczono terapią łóżkową, unieruchomieniem pacjenta, podawaniem leków objawowych i oczekiwaniem na rozwój wydarzeń. Niewiele było terapii, które mogły w przyczynowy istotny sposób pomóc, bo wiele czynników, w tym czas, wpływało na stan pacjenta. Wprowadzenie do naczynia cewnika, otwarcie i poszerzenie go balonikiem zmieniło ten obraz na przełomie wieków.

A te najważniejsze kroki w rozwoju kardiologii?

– Pierwszym krokiem, który rzeczywiście wpłynął na poprawę wyników leczenia miażdżycy, było w połowie lat 60. wprowadzenie operacji by-passów wieńcowych w krążeniu

Olbrzymi postęp zrobiła zwłaszcza w ostatnich kilkudziesięciu latach kardiologia.

pozaustrojowym. Amerykanie wykonali pierwszą taką operację i potem zwłaszcza w tamtej populacji przez drugą połowę XX w. była to najczęściej wykonywana operacja, która wpłynęła na wydłużenie średniego okresu życia populacji zarówno męskiej, jak i żeńskiej. Słynne są przypadki osób przeszło 90-letnich, które w przebiegu tej choroby były dwa lub nawet trzy razy reoperowane i jeszcze w wieku bardzo podeszłym czynnie żyły, prowadząc samochód itd. Ten model leczenia był krokiem milowym, ale już w drugiej połowie lat 80. wymyślono balonik do rozszerzania naczyń. Na początku wydawało się, że nie jest to droga właściwa, bo kardiologia wieńcowa wtedy dawała bardzo dobre efekty. Potem wymyślono stenty, coraz doskonalsze, a druga połowa

lat 90. i pierwsza dekada XXI w. to wprowadzanie kolejnych, coraz to nowocześniejszych technik. I trwa to do dziś. Mówię o tych najważniejszych krokach, bo spowodowały, że jako kardiochirurdzy straciliśmy na szczęście grupę chorych, tych leczonych w zawałe niezwykle skutecznie przez kardiologów.

Kto zatem jest pacjentem kardiologii?

– W tej chwili operujemy chorego w zawałe w wyjątkowych sytuacjach, kiedy kardiolog nie jest w stanie technicznie wykonać tego zabiegu albo dojdzie do tzw. mechanicznych powikłań zawału serca, gdzie mamy do czynienia z ostrą pozawałową niewydolnością zastawki mitralnej lub wytworzeniem się otworu w przegrodzie międzykomorowej. Wtedy my wkraczamy. Generalnie zawał serca

jest leczony przez kardiologów z dużo lepszymi wynikami, niż był kiedyś leczony przez kardiocirurgów, również rozwój technik przeszłonnych spowodował, że gros pacjentów z chorobą wieńcową przewlekłą jest leczonych przez kardiologów. Przede wszystkim populacje młodsze, z takimi zmianami w naczyniach wieńcowych, które pozwalają na skuteczne wykonanie przez kardiologów zabiegu metodą przeszłoną, a więc uniknięcie na wczesnym etapie choroby rozległego zabiegu kardiocirurgicznego. Obecnie operacja kardiocirurgiczna by-passów wieńcowych jest wyborem dla chorych, u których założenie stentów z różnych przyczyn jest niemożliwe.

Wiek pacjenta też nie stanowi już przeszkody.

– Na kardiologii mamy zupełnie inny przekrój pacjentów niż w latach 90. To są ludzie starsi z wieloma chorobami towarzyszącymi, populacja 70-75+, nierzadko 80-latkowie, czyli osoby, które dawniej dyskwalifikowano do operacji chociażby ze względu na zaawansowany wiek. Obecnie są oni operowani również wtedy, kiedy ich choroba serca jest bardziej złożona i operacja ▶

Dr hab. n. med. Marek Cisowski – profesor Uniwersytetu Opolskiego, kierownik Kliniki i Oddziału Kardiologii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu, wykłada w Instytucie Nauk Medycznych Uniwersytetu Opolskiego, wcześniej m.in. w Śląskim Uniwersytecie Medycznym. Jeden z najbardziej uznanych europejskich kardiocirurgów małoinwazyjnych, autor i współautor ponad 200 publikacji naukowych, nagradzany w Polsce i za granicą, m.in. nagrodą wdrożeniową Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego.

► nie zawsze ogranicza się do naprawy naczyń wieńcowych. Także kiedy zmiany w tętnicach wieńcowych są tak zaawansowane, że korzystniejsza mimo większej inwazyjności jest operacja kardiologiczna. W stosunku do lat poprzednich spadła zatem liczba chorych operowanych z powodu choroby wieńcowej, natomiast wzrosła liczba operowanych wad nabytych serca. Wraz z rozwojem wiedzy o wadach nabytych i poprawą dostępności zaawansowanych metod diagnostycznych wzrosła w stosunku do lat poprzednich liczba operacji zastawkowych, operacji tętniaków i rozwarstwień aorty, które dzisiaj szybciej rozpoznajemy, bo diagnostyka jest znacznie lepsza nie tylko w dużych, dobrze wyposażonych szpitalach.

Jednak mimo niewątpliwego postępu choroby układu krążenia nadal nas dotyczą i wciąż musimy z nimi walczyć. Dawniej na oddziałach kardiologii operowano głównie chorobę wieńcową, a operacje zastawkowe i tętniaki stanowiły mniejszość. Dzisiaj to pół na pół, czasem choroba wieńcowa stanowi mniejszość.

Zawał serca jest leczony przez kardiologów z dużo lepszymi wynikami, niż był kiedyś leczony przez kardiocirurgów.

A regionalnie? Jaki jest stan zdrowia w najmniejszym województwie, opolskim?

– Tu ciągle dominuje choroba wieńcowa, mniej więcej 70%, ale i wad serca operujemy sporo. Wykonujemy ok. 300 zabiegów rocznie, to mało. Czy to kwestia zdrowej społeczności, czy może niedodiagnozowania? Mamy stosunkowo małą populację jako województwo, graniczymy z dużymi centrami na Śląsku lub we Wrocławiu, już samo sąsiedztwo powoduje, że gros pacjentów z regionu jest leczonych poza nami. Jesteśmy bardzo małym oddziałem, mamy do dyspozycji jedną salę operacyjną. Nie mamy tu transplantologii, bo też nie ma takiej potrzeby, żeby obok wielkiego ośrodka transplantologii nagle pojawiał się kolejny z pełnym arsenalem mechanicznego wspomaganie czy z możliwością wszczepienia sztucznego serca. To

względy czysto terytorialne, ekonomiczne, chociaż wiele w tej chwili się zmienia i wydaje mi się, że takie ośrodki jak my będą musiały zrobić krok, żeby dać szansę pacjentowi np. na doczekanie się przeszczepu.

Bywa, że walczymy o czas, nie mamy dawcy na zawałanie. Póki nauka nie wymyśli czegoś lepszego, sięgamy po sztuczne serca, czyli mechaniczne pompy, które podłącza się do organizmu, a dzisiaj jest możliwość wyprowadzenia na zewnątrz przewodu, pacjent nosi miniaturowy zasilacz i może z tym iść do domu. Przeżycie z takimi pompami jest coraz dłuższe i w niektórych przypadkach liczymy je już w latach.

W Polsce od 2018 r. są wszczepiane TAH (Total Artificial Heart), sztucznie zasilane serca, pierwszy raz w Zabrzu.

– Pamiętamy o pierwszej transplantacji serca w Polsce prof. Zbigniewa Religi, która dała początek serii coraz to bardziej rutynowych i udanych transplantacji, a prof. Religa rozpoczął kolejne swoje dzieło, czyli budowę sztucznego serca. Mamy dzisiaj polskie sztuczne serce,

wynik pracy inżynierskiej naszych naukowców z Fundacji Rozwoju Kardiologii założonej przez Religę, która ten temat kontuuje i doskonali. Dzięki tym urządzeniom pacjent wprawdzie pozostaje w szpitalu, ale jest pacjentem mobilnym, można go np. rehabilitować. Oczywiście te urządzenia są niezwykle drogie, a jeszcze inne czynniki ograniczają powszechność tego typu rozwiązań. Ale pozwalają one choremu doczekać przeszczepienia narządowego. Pamięta pani na pewno, że jakiś czas temu doszło do zapaści transplantologii i to na długo zmniejszyło liczbę przeszczepionych narządów, w tym serc. Ostatnie lata pokazały, że nawet w covidzie ten trend zaczął się odwracać, ośrodek zabrzański robił tych przeszczepów około setki rocznie – to dużo. A samo Zabrze jest liczącym się ośrodkiem nie tylko w Polsce, ale i w Europie.

Jakie przypadki operujecie w pańskiej klinice?

– Wykonujemy podstawową kardiologię z wyjątkiem wspomaganie serca i transplantologii, czyli choroba wieńcowa, leczenie wad wrodzonych i nabytych u dorosłych. Jeśli chodzi o wady wrodzone, to już jest niezwykła rzadkość, najczęściej to były ubytki w przegrodach międzyprzedsionkowych, które dziś kardiologzy zamykają przezskórnie. Przez lata kardiologia była bardzo niedoszacowana, jeśli chodzi o wycenę procedur. W tym roku, po wielu latach, nastąpiła dosyć istotna regulacja, otwierają się zatem pewne możliwości zakupu przez szpitale najlepszych, najnowszych sprzętów i finansowania nowoczesnych procedur przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Staramy się to wykorzystać.

Dzięki wsparciu władz wojewódzkich, m.in. w związku z covidem, a szpital nasz prowadził wtedy bardzo aktywną działalność, mogliśmy zakupić urządzenia endoskopowe dla oddziału i rozpocząć wykonywanie zabiegów wieńcowych z minimalnych dostępów i niewielkich cięć w międzyżebrow, już bez potrzeby szerokiego otwierania mostka. To są zabiegi, które wcześniej wykonywałem w Katowicach, później w Bielsku, teraz tu udało się je wprowadzić. Udało nam się także wprowadzić nową technikę ablacji lewego przedsionka u chorych z migotaniem przedsionków, zabiegi chirurgicznego zamykania uszka lewego przedsionka w sytuacji przewlekłych utrwalonych migotania, które stanowią zagrożenie udarem mózgu.

Osiągacie spore sukcesy

– To wszystko nie jest łatwe w szpitalu wielospecjalistycznym, którego zadania są bardzo rozległe jako największego ośrodka w regionie. Nie tylko kardiologia musi tu być dopieszczona. Ale może nie do końca słusznie się uważa, że jeśli obok są miejsca, gdzie chorzy mogą się udać z chorobami serca, to tutaj niekoniecznie trzeba kardiologię rozwijać. Mamy bardzo dobrze rozwijającą się kardiologię, a ta, żeby mogła być naprawdę nowoczesna, musi mieć obok dobrą, nowoczesną kardiologię.

Czy fakt, że Opole to ośrodek uniwersytecki z młodym wydziałem lekarskim, pomaga w rozwoju np. kliniki kardiochirurgii?

– Myślę, że powstanie Wydziału Lekarskiego ma ogromne znaczenie dla regionu, przede wszystkim to możliwość kształcenia kadry medycznej, pierwszych absolwentów będziemy mieć w przyszłym roku. To oczywiście młody wydział, który walczy o swoje z coraz lepszym rezultatem, stawia znacznie wyższe wymagania kadrze naukowej, ale również w kwestiach

się popatrzy na kulturę prozdrowotną państw nieopodal, widać, w jaki sposób od dziecka tam się wychowuje, i można stracić nadzieję, bo u nas to wszystko jest ciągle w powijkach. A to rola medyków, od lekarzy do pielęgniarek i rehabilitantów, ale również rola mediów. Nie tylko programy medyczne, ale i różnego rodzaju przedsięwzięcia, akcje, uświadamianie zagrożeń w określonych grupach ryzyka. Wszystkim się wydaje, że wiedzą, ale to nie jest tak. Dzisiaj wiemy np., że jeśli mamy ból

z regularnym myciem zębów. W takim miejscu jesteśmy. Oczywiście są grupy społeczne znakomicie wyedukowane, ale w przekroju całego społeczeństwa stanowią mniejszość.

Jak kardiochirurg, a każdy jest bezcennym instrumentem, dba o siebie, np. o dłonie?

– Każda przesada jest niedobra, więc nie należy tego fetyszować, trzeba dbać o zdrowie, o sprawność, bo kardiochirurgia to duży wysiłek fizyczny, godziny spędzone w wymuszonych pozycjach i ogólna sprawność okazuje się bardzo ważna. W perspektywie wieloletniej to czynnik niezwykle istotny, bo gdy tracimy możliwości zdrowotne, tracimy możliwości wykonywania zawodu. Żyjemy normalnie, uprawiamy sporty, zajmujemy się czasami ogrodem, oddajemy innym pasjom, czyli temu, co wszyscy normalnie robią. Ale oczywiście musimy chronić dłonie przed urazami, które mogą spowodować, że praca stanie pod znakiem zapytania.

Czego życzyć panu, kardiochirurgowi, i pana zespołowi?

– Tego, co wszystkim w dzisiejszych czasach: zdrowia i pokoju, to najważniejsze. Cała reszta jest następstwem i można nad nią popracować.

Beata Dżon-Ozimek

Miażdżyca tętnic obejmuje większość populacji i jest wyzwaniem cywilizacyjnym numer jeden.

dydaktycznych. Jesteśmy świeżo po otwarciu dużego uniwersyteckiego centrum badawczo-rozwojowego, mamy nowy doskonały warsztat pracy dla młodych – i nie tylko – naukowców, chcemy czymś zachęcić tych ludzi, którzy skończą studia, żeby nam nie uciekali do innych ośrodków.

A uciekają?

– W tej chwili na każdym odcinku widzimy niedobór kadr lekarskich, pokazały to covid i wiele różnych sytuacji dnia codziennego. Walczymy o to, żeby nasze ośrodki na miejscu dawały warunki pracy i rozwoju – bo to jest podstawa w dzisiejszych czasach, gdy jesteśmy względnie wolnymi ludźmi – żeby lekarze nie poszli pracować na Śląsk, do Wrocławia czy Warszawy. A są studenci, którzy mają potężne ambicje i potencjał, więc dobrze, by tu mogli awansować, rozwijać się, korzystać z dobrej wymiany międzynarodowej, bo jeżeli się zamkniemy w zaścianku, to nie będzie dobra droga.

O czym my, potencjalni pacjenci, mamy pamiętać, by być fair wobec naszych organizmów?

– Po prostu się ruszać. Jedno z najważniejszych zadań dla kadr medycznych, ale i dla przeciętnego obywatela, to edukacja prozdrowotna. W tym jako społeczeństwo jesteśmy chyba jeszcze słabsi niż w piłce nożnej. Brak świadomości na co dzień, brak imperatywów, które by kształtowały nasz model życia, poczynając od sposobu odżywiania się, na różnych aktywnościach skończywszy. Kiedy

w klatce piersiowej, ważne są pierwsze dwie-trzy godziny. Jeżeli trafimy do szpitala, gdzie będzie prawidłowo przeprowadzona interwencja i ten zawał właściwie odwrócimy, uchronimy chorego przed nieodwracalnymi skutkami zawału serca. Przestaniemy zatem produkować „inwalidów”, którzy nie wrócą do normalnej aktywności życiowej i zawodowej. Dotyczy to też udarów mózgu czy kwestii zapobiegania określonym nowotworom, takim jak jelita grubego, piersi i jajnika u kobiet. Każdy może o to dbać od strony higieny życia codziennego. Ale my wciąż mamy problem



Pragmatyk do szpiku kości

Prawdziwe kolekcjonerstwo polega na udostępnianiu sztuki, a nie na samotnym oglądaniu obrazów po wyjęciu z sejfu

Od 44 lat prowadzi własny biznes, a zaczynał zaraz po studiach – fizyka na Uniwersytecie Warszawskim. Tam poznał Piotra Wiślickiego, przyjaciela i wspólnika. Na początek była mała firma konfekcyjna, a potem, od 1983 r., obaj razem prowadzą Dantex. Nie zaniedbują też swoich pasji. W przypadku Wiślickiego to Muzeum POLIN, Roeflera – kolekcjonowanie obrazów École de Paris i obiektów art déco. By je pokazać światu, wyremontował dwie przeszło 120-letnie zrujnowane wille, które przeobraziły się w nowoczesne muzea. Mają jedną nazwę: Villa la Fleur (kwiat). W pierwszym odbyło się kilkanaście wystaw, m.in. prac Henryka Haydena, Henryka Epsteina, Simona Mondzaina, Natana Grunsweiga, Alicji Halickiej, Maurycego Mędrzyckiego i Josepha Pressmana'a.

„Wiele zawdzięczam ojcu”, mówi Marek Roefler. Jako nastolatek toczył z nim wojnę, miał włosy do ramion i ukochaną – mężatkę z dzieckiem. Mimo nakazów ojca niczego nie chciał skrać ani nikogo porzucać. Nie chciał także jeździć konno, na nartach ani polować. Brak kieszonekowego od ojca okazał się inspiracją do rozwijania przedsiębiorczości. Oznaczał pracę w każde studenckie wakacje, u polskich rolników i za granicą, za to z niezłym finansowym rezultatem.

Gdy w 1971 r. ojciec, dyrektor szpitala, umiera, Marek ma 19 lat i zostaje głową rodziny, a potem przez całe życie, gdy dzieje się coś ważnego, zadaje sobie pytanie: „Co ojciec by na to powiedział, jak zareagował?”, ale zaświaty uparcie milczą.

Poświęcona Tamarze Łempickiej wrześnie wystawa w drugiej willi muzeum okazała się niekwestionowanym sukcesem. Miała trwać do końca grudnia 2022 r., ale Marek Roefler podjął decyzję o jej przedłużeniu do połowy marca 2023 r.



MAREK ROEFLER

– kolekcjoner sztuki i biznesmen

Rozmawia
Liliana Śnieg-Czaplewska

Tvoja konstancińska wystawa poświęcona Łempickiej okazała się sukcesem pewnie z kilku powodów. Bo to dzieła i życie oraz ciekawe artefakty – jak inaczej określić pukiel włosów czy pierścień z topazem od kochanka, Gabriela d’Annunzia? Tymczasem to już trzecia w 2022 r. wystawa tej bodaj najślawniejszej w świecie polskiej artystki, podkre-

ślającej swoją polskość. Najpierw Lublin, teraz Konstancin i Kraków. Nie za dużo?

– Widocznie dobrego nigdy dość. Łempicka była wielka za życia, więc zainteresowanie nią przetrwało lata. Z Zofią Gołubiew, dyrektorką Muzeum Narodowego w Krakowie, dawno myśleliśmy o Tamarze, ale też o artystach urodzonych w Krakowie, lecz nieznanymi, takich jak Jean Lambert-Rucki, Mojżesz Kisling, Alicja Halicka, Natan Grunsweig. Miałem dać obrazy, meble z epoki,

opracować merytorycznie katalog wystawy, a Muzeum Narodowe – użyczyć siedzibę w kamienicy Szołayskich. Niestety, zmieniła się władza, usunięto Zosię, wybitną muzealniczkę, i już nie było szans na wspólne przedsięwzięcia, np. Łempicką w 40. rocznicę jej śmierci. **Udało się zorganizować taką wystawę dwa lata później w Lublinie, w Muzeum Narodowym. Wypożyczyłeś swoje obiekty, w tym meble zaprojektowane przez siostrę Tamary, w twoim muzeum powstał katalog.**

– Próbowałem pozyskać dzieła ze świata, prowadziłem rozmowy na temat wypożyczenia obrazów Tamary z Baker Museum w Naples na Florydzie, ale kiedy 24 lutego wybuchła wojna, dostaliśmy informację, że nic z tego. Z perspektywy USA Polska leży bardzo blisko Ukrainy, co niestety się potwierdziło. Gdy tuż przed pandemią wręczano mi w Krakowie bardzo znaczną nagrodę im. Feliksa „Mangghi” Jasieńskiego za rok 2019, dziękując, wróciłem do idei wspólnych wystaw. Także Mariśsa de Lempicka, prawnuczka Tamary, zapaliła się do tego pomysłu, ale szanse nie było.

Nagroda im. Jasieńskiego to dla ciebie...

– ...wielka satysfakcja, że ktoś mnie docenia i w prywatnym kolekcjonerze widzi wzór dla innych, bo nagroda nazywa się „Kolekcjonerstwo – nauka i upowszechnianie”.

Jako małe, prywatne muzeum zrobiliśmy dla Tamary wielką merytoryczną robotę, wypożyczyłem Lublinowi sporo swoich obiektów, ściągałem osobiście obrazy z Francji, z USA. Teraz też mam satysfakcję: do Konstancina przyjeżdża w każdy weekend 2-3 tys. osób. Prawnuczkę Mariśsę zaprosiłem na wystawę „Paryż był kobietą” na zamku Książ, złożoną wyłącznie z dzieł mojej kolekcji. **Zostawmy na chwilę Tamarę. Pamiętaj, kiedy kupiłeś pierwszy obraz?**

– Był rok 1990. Właśnie kończyłem wielki dom w Konstancinie, z basenem, kortem tenisowym, wieżą w marmurach, granitach, mając dwójkę dzieci i dużo pustych ścian. Widocznie nastąpił powrót do dzieciństwa, gdy żył ojciec, bo kupiłem kilkanaście Kossaków: sceny z polowań z nagonką, psy, konie, jeźdźcy w czerwonych kubrakach. Większość w Krakowie, gdzie powstały pierwsze domy aukcyjne. Zacząłem otrzymywać pierwsze katalogi i wpadł mi w ucho termin École de Paris.

I nazwiska artystów w Polsce nieznanych.

– Prawda, mnie zresztą też, bo przed 1989 r. malarstwo nie istniało w moim życiu, ani wystawy, ani muzea.

Ktoś ci podpowiedział: zainteresuj się dziełami polskich Żydów,

malarzy żydowskiego pochodzenia z Europy Środkowo-Wschodniej, bo to wartościowa sztuka i dobrze ją w Polsce mieć?

– Nie, sam na to wpadłem, to moje własne tropy. Odbyłem w błyskawicznym tempie kurs historii sztuki, ze szczególnym uwzględnieniem École de Paris i art déco. Z książki Nadine Nieszawer „Żydowscy artyści szkoły paryskiej 1905-1939” wynotowałem 70 nazwisk polskich Żydów, kierując się miejscem urodzenia (miejscu śmierci również były znamienne – miejsca nazistowskiej zagłady). W Paryżu trafiłem do galerii Marka Mielniczuka, gdzie kupiłem pierwszy obraz szkoły paryskiej, a Marek został moim mentorem, dziś to przyjaciel.

Gdy ktoś pyta, jak doszedłem do tego, co mam, mówię, że nie jestem superzdolny ani superinteligentny, tylko niesłuchanie pracowity i konsekwentny.

Co robiłeś tak często w Paryżu?

– W latach 90. tego wymagał mój konfekcyjno-modowy interes, ale zawsze znajdowałem czas, aby wpaść do najstojniejszego domu aukcyjnego, Drouot. To kultowe miejsce dla handlu sztuką na świecie, pamiętające I wojnę światową; 16 sal wynajmowanych przez domy aukcyjne, wąskie, przedwojenne schody ruchome na jedną osobę, aukcje odbywające się codziennie. Zaprenumerowałem gazetę Drouot, która obejmuje swoim zasięgiem europejski rynek aukcyjny, a w samym Paryżu takich domów jest pewnie kilkadziesiąt. Od czasu, kiedy jest internet, prędko działa strona www.drouotonline.com.

We Francji każde miasteczko ma swój dom aukcyjny, po śmierci właściciela zjawiają się aukcjonerzy: jeden po meble, drugi po książki, kolejni po porcelanę, obrazy, rzeźby. W Paryżu handluje się wszystkim, co ludzie gromadzą przez lata. Dzięki gazecie Drouot zobaczyłem, że wszystko, co nabywam w Warszawie, mogę kupić w Paryżu za połowę ceny.

Zacząłeś licytować przez telefon?

– Udział w aukcjach na początku był drogą przez mękę. Gdy miałem

zapłacić za obraz 1 tys. dol., najpierw musiałem wystać zaświadczenie na piśmie, że mam takie pieniądze, dołączyć ksero pierwszej strony paszportu, że Marek Roefler to ten sam gość, co licytuje przez telefon, ma to konto i na pewno zapłaci. Na szczęście mówię po francusku, inaczej żadna transakcja nie byłaby możliwa.

Warto było tak się męczyć?

– Nadal było taniej, minimum dwa razy!

Licytacja wciąga, uzależnia?

– Jestem tego przykładem. Błyskawicznie wpadłem w szaleństwo zakupów, inwestowania i zbierania głównie École de Paris. Szybko dom i biuro zawiesiłem obrazami, a jak przynosiłem kolejny obraz do

domu, na pytanie żony: „Co, znowu coś kupiłeś?”, mówiłem: „Nie, odebrałem od konserwatora” albo że był u ramiarza, na aukcji itd. Wstydiłem się przyznać, jak bardzo jestem uzależniony, choć żyłem w przeświadczeniu, że mądrze robię.

Wiele obrazów Epsteina, Mondzina, Pressmana, Grunsweiga przyjeżdżało do mnie w opłakanym stanie. Ściągane z różnych dziur, gdzie ubogi artysta płacił za posiłki i noclegi obrazami, nie miały ram, a brudne były tak, że nie było na nich widać słońca ani morza.

Wtedy o stworzeniu muzeum nie myślałeś?

– Jeszcze nie, pierwsza willa kupiona od sąsiadów i wyremontowana miała być „domem dla obrazów” oraz miejscem świąt rodzinnych i firmowych, moich eventów filmowych, Agnieszki spotkań z przyjaciółkami. Obrazy miały tam mieszkać, wisieć na ścianie, gdzie ich miejsce, wśród mebli art déco. Mistrzowie szkoły paryskiej przywróceniu życia. Oczyszczone, oprawione, z rzetelnie udokumentowanymi biogramami twórców i katalogami, znowu mają swoją widownię. O muzeum pomyślałem, gdy już nie miałem ani kawałka ▶

► miejsca na nowe nabytki, niecałe 20 lat temu.

Zdążyłeś poznać rodziny artystów?

– Udało mi się, gdy otworzyłem pierwszą Villę la Fleur i zacząłem organizować wystawy. Na wystawę Simona Mondzaina (Szamaja Mondszajna) zaprosiłem jego dwie córki z rodzinami, na wystawę Mędrzyckiego – syna Maurycego z rodziną, byli też u mnie krewni Haydena i Halickiej, rozproszeni po całych Stanach.

Nikogo z krewnych nie ma dziś wśród żywych. Te resztki rodzin ze świata u mnie dowiadywały się częstokroć o krewnym rzeczy, jakich nie wiedziały, i podziwiałały obrazy, których nigdy nie widziały.

Teraz współpracuję ściśle z prawnuczką Łempickiej. Marisa mieszka na stałe w Aspen, jest instruktorką narciarstwa, przyjęła nazwisko prababki, nie ma dzieci ani męża, więc całkowicie poświęciła się dbaniu o spuściznę prababki. Motor wszystkiego. Jest młoda, dba o całość, wypożycza obrazy, organizuje kontakty z kolekcjonerami, jest niesłychanie aktywna. W ciągu krótkiego czasu była w Polsce trzy razy.

Żyje z nauki narciarstwa w Aspen?

– W jakimś promilu pewnie tak... (śmiech). Jeśli obraz prababki sprzeda się za 20 mln dol., spadkobiercy, czyli Tamara de Lempicka Estate



Willa La Fleur w Konstancinie.

– Przeszedłem wszystkie stopnie biznesu. Najpierw rzemiosło, potem firmy polonijne jak większość, na przełomie epok – zmiana ustroju. Państwowy przemysł podupadł, wszyscy zaczęli od nowa, widziałem, jak ludzie robili pieniądze, a potem je tracili, popadali w dług.

Przy okazji nie płacili podwykonawcom i małe firmy padały jak muchy.

– Ja nigdy nie zaliczyłem plaży, byłem ostrożny. Za to „zaliczyłem” nieuczciwe podchody, zmianę branży,

załamał. Sprzedałem tysiące mieszkań, na stabilności zbudowaliśmy z Piotrem firmę rodzinną. Przeszliśmy wszystkie etapy, różne zakręty, zmieniał się status spółki, ale nie mam żadnej sprawy sądowej, żadnego sporu ani wroga.

Tylko paru zazdrośników.

– Sprzedajemy mieszkania Daneksu o kilkaset złotych za metr drożej, bo mamy renomę i opinię solidnych. Uważamy, że najważniejsze jest bezpieczeństwo biznesu, odpowiedzialność za ludzi i że „klient nasz pan”. Do mnie każdy może dotrzeć, bo tu mieszkam i pracuję, a nie na Bahamach. Prawdopodobnie dlatego mała firma murarska czy żelbetowa woli współpracę ze mną niż z potentatem w branży i jego armią prawników, bo wypłatę ma może mniejszą, ale pewną i regularną.

Wróćmy do wielkiej sztuki – ponadnarodowej i różnorodnej, gdy Polska nie istniała.

– Używali słowa Polska, mówili po polsku do końca życia i po francusku, bo naturalizowali się we Francji, a background mieli żydowski. W Paryżu tworzyli ramie z największymi. Hayden – rewolucję kubistyczną, Louis Marcoussis (Ludwik Markus) razem z Pablem Picasse, Juanem Grisem i Jeanem Metzingerem awangardę. Maurycy Mędrzycki i Renoir – wszyscy równi sobie, a Tamara błyszczała ponad wszystkimi.

Współpracuję ściśle z prawnuczką Łempickiej, Marisą, która całkowicie poświęciła się dbaniu o jej spuściznę.

LLC, mają z tego pewnie 2%, jeżeli za 100 tys. euro – 4%. Jako właściciele praw autorskich także z każdej wystawy, na którą wypożyczają obrazy, z każdej książki, plakatu, porcelany, gadżetu. Żaden film ani serial o Tamarze nie powstanie bez zgody rodziny...

...która nie ma nawet jednego obrazu przodkini.

– Do oryginałów dostęp ma dzisiaj niewielu. Za to dzięki Marisie, która ogarnia najnowsze technologie, jak ktoś chce, może mieć za umiarkowaną kwotę serigrafie dzieła Tamary niebywale wysokiej jakości.

Kolekcjonerstwo to pasja bardzo kosztowna, trzeba na nią zarobić.

lata tłuste i... chwile gorsze. Początek lat 90.: Dantex ubiera prezenterów i na końcu dziennika telewizyjnego ukazuje się logo mojej firmy – reklamowy strzał w dziesiątkę. Miałem wtedy sklep w Alejach Jerozolimskich i 18 sklepów w terenie, robiłem pokazy mody na 500 osób. A potem branża odzieżowa się zawaliła, nikt nie płacił za towar. Zwinąłem rynek krajowy, zostając przy eksporcie. Ale i tam przestało iść, bo warunki stały się zmienne, jak pogoda zimą w górach.

Nie zostałeś dyktatorem mody, ale w deweloperce idzie ci płynnie kolejną dekadę.

– Mieszkania zacząłem budować 15 lat temu, gdy rynek biurowy się



W 2022 r. ogromnym powodzeniem cieszyła się wystawa prac Łempickiej, zorganizowana w konstancińskim muzeum Marka Roeflera.

Tamara Łempicka, Portret młodej kobiety w zielonej sukni, ok. 1930 r.



za Francuzów. Walczyli po ich stronie w I wojnie światowej: Mondzajn, Marcoussis, Epstein, Mędrzycki. Dziś nikt się nie zagłębia w fakt, że Mojżesz Kisling urodził się w Krakowie, a Jan Rubczak (wł. Dubczak) w Stanisławowie. Kogo to obchodzi? Tworzyli nową sztukę, stanowili międzynarodowe, zróżnicowane skupisko utalentowanych artystów. Eksperymentowali, szukali swojego miejsca w sztuce. Ekspresjonizm,

kubizm, fowizm? Oni sięgali i do renesansu, i do sztuki Afryki. Niektórzy za życia byli wielcy, jak Modigliani, Chagall czy Kisling. Poruszali się na wyżynach kultury świata.

Skoro renomowane muzea we Francji i w USA współpracują z tobą, a ty z nimi, podobnie jak domy aukcyjne Sotheby's i Christie's, to znaczy, że zdobyłeś zaufanie tego trudnego świata.

– Jako kolekcjoner szkoły paryskiej jestem znany w całej Europie, w Stanach i w Izraelu. Od lat przed

aukcjami dostaję książki, katalogi i telefony: „Panie Roefler, tu jest piękny Mędrzycki”. Wczoraj np. była u mnie w domu dyrektorka Christie's z Nowego Jorku – czołowego domu aukcyjnego, aby obejrzeć muzeum i porozmawiać o współpracy.

Bo są kolekcjonerzy, którzy nie wypożyczają, jak ta Szwajcarka, właścicielka „Autoportretu w zielonym bugatti”, albo Madonna, która nie wypuszcza z rąk żadnego z bodaj pięciu obrazów Łempickiej. Ty przeciwnie.

– Bo na tym polega prawdziwe kolekcjonerstwo, a nie na samotnym oglądaniu obrazów po wyjęciu z sejfów.

Obrazy znów są blisko siebie, jak niegdyś ich twórcy mieszkający w La Ruche, dziwnej budowli, „ulu”, na ok. 140 pracowni (autorem był Eiffel). Zebrałeś rozproszone prace tych, którzy klepali biedę na Montparnassie, o głodzie i chłodzie. Dzieło romantyka.

– Ale oni częstokroć uciekali od jeszcze większej biedy w Drohobycz, Łodzi czy Mogilnie, a ja tak naprawdę jestem pragmatykiem do szpiku kości. Gdy ktoś mnie pyta, jak doszedłem do tego, co mam, mówię: „Nie jestem superzdolny ani superinteligentny, tylko niestęchanie pracowity i konsekwentny”, „Jak chcesz osiągnąć swój cel, pukasz do dziesięciorga drzwi i jak się nie otwierają, pukasz do jedenastych”.

O czym nigdy nie myślałeś?

– O kupnie wielkiego jachtu. Ani o emigracji. Mieszkam tu i nigdzie indziej, choć mógłbym wszędzie, a dwoje z trojga moich dzieci studiowało za granicą, ale wszyscy żyjemy tutaj.

Któreś złapało bakcyła kolekcjonerstwa?

– O, nie! Widać, szaleństwo odstrasza, obserwują przecież, ile zabiera czasu.

Muzeum to twoje dzieło życia?

– Moje czwarte dziecko. Dlatego powołałem Fundację Marka Roeflera, aby w przyszłości prowadziła sprawę muzeum, a w jej radzie zasiadła moja rodzina. Taka jest moja nadzieja, ale jak będzie? Kto to wie...

Liliana Śnieg-Czaplewska

Natan Grunsweig, który malował ulice Paryża, jest nie gorszy niż Maurice Utrillo – tym, co najbardziej ich różni, są ceny ich obrazów. Obrazy Chaima Soutine'a (Sutina), urodzonego we wsi Śmiłowicze koło Mińska, kosztują dziś miliony.

Ci artyści są multi- i ponadnarodowi z założenia, widnieją na kartach ksiąg o modern art, a ich dzieła są w największych muzeach świata w USA, Francji, Izraelu, no i u mnie. Razem żyli, pili, bawili się. Oczywiście przez całą Francję uważani są

KURTYNA W GÓRĘ

Przedstawienie Alcesta

Tak właśnie ocenia Alcesta, bohatera Molierowskiego „Mizantropa”, jego przyjaciel Filint – powiada, że robi on przedstawienie, a ściślej, wedle oryginału Moliera, komedię ze swoim absolutnym żądaniem głoszenia prawdy w każdych okolicznościach. To znaczy wyglupia się. Co z tego, że ma rację, dostrzegając wokół siebie morze hipokryzji i towarzyskiego łgarstwa, skoro i tak swoją odrazą do kłamstwa sprawia, że ludzie od niego stronią. Opuszcza go nawet narzeczona. Alcest odchodzi przegrany, ale mimo wszystko jakoś nam go żal. Nie tylko Filintowi (Paweł Paprocki), który nadal chce o niego walczyć. Przecież te polajanki Alcesta są jakoś potrzebne, potrzebujemy kogoś, kto będzie przypominał, że prawda jednak się liczy. No, może nie w życiu towarzyskim, bo wtedy wszyscy albo by powariowali, albo obraziliby się na siebie śmiertelnie.

Jakkolwiek by było, „Mizantrop” to bardzo mądra i ważna komedia, która – w zależności od kontekstu – może nieść poważne konsekwencje. Stąd kłopoty z jej wystawianiem na samym początku, a i potem obawy takiej czy innej cenzury. Spektakl w Narodowym jednak nie obrazi chyba nikogo. Utrzymany jest w tonacji racjonalnego wyciszenia, powagi, ale i łagodnego dowcipu. Grzegorz Małecki gra Alcesta zdecydowanie, ale nie jest tak znowu na świat rozsierdzony, raczej chce mu przemówić do rozumu, a kiedy to okazuje się niemożliwe, rezygnuje.

Jan Englert pięknie tu wszystko wystylizował, z leciutkim nalotem pastiszu, jak w świetnej roli Arsinoe, skrojonej w takim duchu przez Beatę Ścibakównę, ale widać to choćby



w zrytmizowanych spotkaniach Celimeny (Justyna Kowalska) z zalotnikami, w recytacji grafomańskiego sonetu Oronta (Przemysław Stippa), a nawet w zachowaniach służby – nadmiarowo aktywnej, wścibskiej i nastawionej ironicznemu do świata bogaczy.

Spektakl do oglądania i myślenia, bo o prawdzie można w nieskończoność, a Molier to robi pierwszorzędnie w doskonałym brzmącym przekładzie Jerzego Radziwiłowicza.

Tomasz Miłkowski

Molier, „Mizantrop”, tłumaczenie Jerzy Radziwiłowicz, reżyseria Jan Englert, Teatr Narodowy, sala prób, premiera 10 grudnia 2022

NA POWAŻNIE

MIĘDZY OKŁADKAMI

Spaghetti western w operze

Wszystko jest jak na Dzikim Zachodzie, saloon z dymiącymi napojami, list gończy za bandytą i nagroda 10 tys. dol. Są kowbojskie kapelusze, strzelby, rewolwery Colt i romantyczna intryga. Tylko język jakiś dziwny – włoski. Opera powstała z zachwyty nad historiami westernowymi. Dobrze, że reżyserka Karolina Sofulak nie przeniosła akcji do naszych czasów i okoliczności. Muzyka by tego nie zniosła, a taka piękna.

Bronisław Tumilowicz



Giacomo Puccini, „Dziewczyna z Dzikiego Zachodu”, kierownictwo muzyczne Wojciech Rodek, reżyseria Karolina Sofulak, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 17 grudnia 2022

Carolina De Robertis

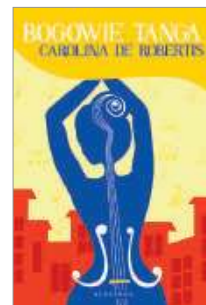
Bogowie tanga

tłum. Anna Dobrzańska

Albatros, Warszawa 2022

Jest takie zdjęcie Azuceny Maizani, na którym śpiewaczka argentyńskich tang, przymierzając się do zapalenia papierosa, zerka szelmowsko spod rądkę męskiego kapelusza. Jej występom, jak pisze Carolina De Robertis, długo odmawiano miejsca w historii tanga, które wprawdzie ewoluowało, odchodziło od afrykańskich korzeni, nabierało „ogłady”, wzbogacało się o kolejne instrumenty i wreszcie wokół – ale przecież nie kobiecy! W „Bogach tanga” Rosa Vidal – czy wzorowana właśnie na Maizani? – śpiewająca w męskim stroju męskie tango, by zdobyć angaż w zespole, a potem podbić publiczność, też szokuje. Jej starania ze zgrozą przewyższającą wzbudzenie pozostałych muzyków obserwuje skrzypek Dante. Rosa, która przebraniem wcale nie maskuje kobiecości, może zdradzić jego sekret. Co będzie, gdy koledzy przejrzą na oczy? Dante, zanim zaczął grać tango w burdelach Buenos Aires, był Ledą, imigrantką z Włoch, która, ledwo zesła ze statku, dowiedziała się, że została wdową. A co może spotkać samotną dziewczynę na obcej ziemi? O ileż bardziej wolny jest mężczyzna! Może grać, zarabiać większe pieniądze. I może kochać. Bo to poruszająca, melodyjna powieść o miłości.

Aleksandra Pańko



**JACEK
PAŁKIEWICZ**

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY

Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości ginących
cywilizacji i niezwykłych
krajów oraz pokonywanie
barier w warunkach
krajowego obciążenia



JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator,
twórca survivalu w Europie.
www.palkiewicz.com

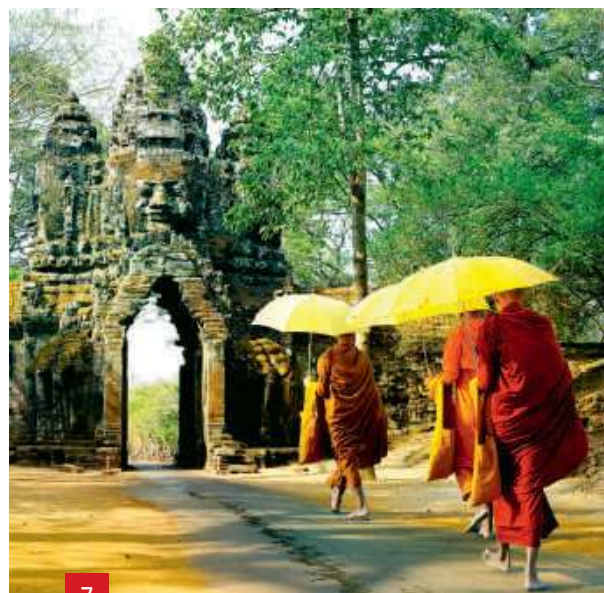
MAGIA ANGKORU

Somerset Maugham, urzeczonego zagadkowym cza-rem pochłoniętych przez zaborczą dżunglę świątyń Angkoru, przewyższającego monumentalnością egipskie piramidy i zabytki Majów, napisał: „Nie można umrzeć, nie zobaczywszy tych sakralnych budowli”. Okres bezprecedensowej świetności Angkoru trwał za- ledwie pięć wieków (IX-XIV w.), a dominujące wówczas w Azji Południowo-Wschodniej imperium Khmerów po upadku zostało na długo zapomniane. Odkrył je do- piero w 1861 r. Henri Mouhot. Świat nie miał jednak

możliwości poznania wyjątkowej wartości skarbów kul- tury pogrążonych w głębokiej niepamięci. Nie pozwa- lały na to burzliwe losy Kambodży, konflikty wewnętr- zne, holokaust Pol Pota, inwazja wietnamska i wreszcie pola minowe.

Po raz pierwszy znalazłem się tam w 1975 r., kie- dy kraj w połowie opanowany był przez Pol Pota. Nie było wtedy turystów, zaczęli się pojawiać dopiero od 1986 r. i wówczas zanotowano obecność 560 osób. 13 lat później było ich 60 tys., w 2002 r. – 280 tys., a w roku ubiegłym liczba ta wzrosła do 3 mln. Dziś miasto o powierzchni Warszawy stanowi największą atrakcję turystyczną tego regionu Azji. ▶





1. XII-wieczna świątynia Ta Prohm.
2. W oczekiwaniu na wschód słońca w Angkor Wat.
3. Tancerki apsarasy – niebiańskie nimfy.
4. Baśniowy widok pojedynku drapieżnej przyrody z dziełem człowieka.
5. Myny udaremniały do końca lat 80. zwiedzanie Angkoru.
6. Miniaturowa świątynia Banteay Srei.
7. Brama Zachodnia kompleksu Angkor Thom.
8. Ta Prohm pochłonięta przez tropikalną przyrodę.
9. Inwazja turystów grozi zdeptaniem Angkoru.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Marcin Przymencki

Birdwatching to prowadzenie obserwacji ptaków w celach rekreacyjnych lub naukowych – co jest oczywiście najbardziej podstawową definicją tej działalności. Większość entuzjastów nie poprzestaje bowiem na obserwowaniu lub słuchaniu ptaków, lecz również dokumentuje swoje obserwacje, identyfikuje dostrzeżone osobniki, dzieli się odkryciami. I choć niektórzy w tym momencie uśmiechną się z niedowierzaniem, jest to jedna z najszybciej rozwijających się gałęzi turystyki.

Osoby niezarażone tą pasją mogą mieć trudności ze zrozumieniem, co takiego szczególnego jest w ptakach. W końcu są wszędzie, prawda? Obserwatorzy ptaków mają jednak mentalność kolekcjonera. W gruncie rzeczy taka jest istota birdwatchingu. Chodzi o zbieranie – obserwacji nowych gatunków, podgatunków czy typów zachowania, nowych zdjęć, filmów, nagrań głosów, odczytanych ptasich obłączek. Każdy skrupulatny birdwatcher wszystko dokumentuje i przechowuje – w zeszycie, notatniku, ale przede wszystkim w internetowych bazach danych, na forach i różnego rodzaju stronach.

Spółeczność jest żyta i oprócz chęci dzielenia się nowymi materiałami występuje tu istotny element zdrowej rywalizacji, który wszystko napędza. Im więcej, tym lepiej – rośnie szacunek znajomych, własna satysfakcja, doświadczenie. A przy ptakach tak bardzo różniących się wyglądem i zachowaniem nie brakuje rzeczy, którymi można się ekscytować. Zawsze trzeba szukać czegoś nowego.

Z Australii nad Biebrzę

Zainteresowanie obserwacjami ptaków ze względu na ich wartość estetyczną, a nie użytkową, sięga końca XVIII w. Badania ptaków stały się coraz bardziej powszechne w Wielkiej Brytanii w epoce wiktoriańskiej. Często powiązane były ze zbieraniem jaj, a później skórek (spreparowanych martwych



Przyroda się opłaca

Birdwatching to jedna z najszybciej rozwijających się gałęzi turystyki

ptaków). Zamożni kolekcjonerzy wykorzystywali swoje kontakty w koloniach do pozyskiwania okazów z całego świata. Dopiero pod koniec XIX w. apel o ochronę ptaków doprowadził do wzrostu popularności obserwacji ptaków żywych. Zaczęły powstawać stowarzyszenia skupiające się na ich ochronie. Wyrażenie obserwacja ptaków pojawiło się po raz pierwszy na początku XX w. W Ameryce Północnej ich identyfikacja, kiedyś wiązana tylko ze strzelaniem do nich, stała się możliwa dzięki pojawieniu się optyki i terenowych przewodników do oznaczania gatunków.

W 1965 r. założono pierwszą brytyjską firmę zajmującą się wycieczkami w celu obserwacji ptaków (Ornitholidays). Początkowo ruch ten

zdobywał popularność w krajach rozwiniętych, takich jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Aktualnie obserwacje ptaków prowadzone są w większym lub mniejszym stopniu niemal w każdym kraju na świecie. Działania naukowe wspomagane są przez rzesze wolontariuszy – birdwatcherów, dla których to sposób na spędzanie wolnego czasu, relaks i pasja.

– Turystyka przyrodnicza opiera się głównie na dzikiej, nieujarzmionej naturze – mówi Marta Światała, która od 2008 r. pilotuje wycieczki w Polsce i innych krajach. Marta pracuje jako ornitolog, ale kilka razy w roku pokazuje polską przyrodę zorganizowanym grupom birdwatcherów z zagranicy.

Biebrzańskie bagna to must-see dla każdego zainteresowanego przyrodą, nie tylko w Europie.

– Ludzie przyjeżdżają tu, by zobaczyć, jak wygląda dzikie życie. Chcą go zakosztować. Biebrza czy Białowieża to dla nich coś, czego nie mają u siebie – twierdzi. Zagraniczni turyści nastawieni są na oglądanie nie tylko ptaków, ale również dużych ssaków, m.in. żubra czy łosia. – Najlepiej, gdyby udało się im zobaczyć też wilka i rysia!

Każdy skrupulatny birdwatcher wszystko dokumentuje i przechowuje – w zeszycie, notatniku, ale przede wszystkim w internetowych bazach danych.

Polska jawi się zachodnim turystom jako przejście między Zachodem a Wschodem i w gruncie rzeczy taka jest. Mimo że część naszej przyrody jest przekształcona, rzeki uregulowane, a łąki zostały już dawno osuszone, nadal mamy w kraju miejsca nietknięte lub takie, w które człowiek ingerował w niewielkim stopniu. Szczególnie na wschód od Wisły. Wspomniane już Biebrza i Białowieża to must-see dla każdego zainteresowanego przyrodą, nie tylko w Europie. Do Polski przyjeżdżają Brytyjczycy, Holendrzy, Niemcy, Belgowie, Francuzi oraz Hiszpanie, ale sporą część zagranicznych birdwatcherów stanowią także Amerykanie, a zdarzają się i Australijczycy.

Program obowiązkowy

Biebrzańskie bagna, objęte ochroną w ramach parku narodowego, to rozległy obszar w województwie podlaskim, gdzie świat nieco stanął. Duża część mokradeł jest domem dla tysięcy organizmów. Jedne z najważniejszych to dwa gatunki ptaków ściśle związane z tym ekosystemem – wodniczka i dubelt. Właśnie dla nich co roku nad rzekę ściągają rzesze birdwatcherów.

Podobnie rzecz się ma z Białowskim Parkiem Narodowym, choć cała Puszcza Białowieska, z zachowanymi elementami lasu pierwotnego,

jest obiektem zachwytu. Obserwatorzy szukają tu rzadkich dzięciołów związanych z martwym drewnem, m.in. dzięcioła trójpalczastego i biało-grzbiatego, ale również innych gatunków ptaków, takich jak sóweczka. A kiedy jeszcze drogę przetnie stado żubrów...

I chociaż oba parki narodowe należą do programu obowiązkowego, cała przyroda wokół jest czymś, co na Zachodzie już po prostu nie istnieje. Zmiany w krajobrazie rolniczym w Anglii czy Hiszpanii zasłły

tak daleko, że miejscowi z wielkim zaangażowaniem liczą np. każdego napotkanego gąsiorka. A ten w Polsce występuje licznie – jeszcze. Poza tym same podlaskie krajobrazy i folklor stanowią nie lada ciekawostkę.

– Chętnie odwiedzane są też Bieszczady oraz ogólnie Karpaty – podsumowuje Marta Świtała. Polska część tego ciągnącego się przez kilka państw łańcucha odwiedzana jest chętnie ze względu na możliwość obserwowania ginących kuraków – cietrzewia i głuszca, sów, dzięciołów oraz ssaków drapieżnych: niedźwiedzi, wilków, rysi i żbików.

Anglicy czy Hiszpanie u siebie liczą chociażby każdego napotkanego gąsiorka. A ten w Polsce występuje jeszcze licznie.

Z uroków wschodnich krańców Polski korzystają nie tylko zagraniczni birdwatcherzy, ale i rodzeni. Jeżdżą podziwiać to, czego u nich brakuje. W połowie maja rankiem lub wieczorem mnóstwo aut parkuje przy Carskiej Drodze w Biebrzańskim Parku Narodowym i sznur ludzi maszeruje po wysuniętej w głąb bagien kładce Długa Luka. To nie tylko atrakcja dla obserwatorów ptaków. Ten niepowtarzalny klimat bagna, jednego z ostatnich takich w Europie, to coś, co każdemu może pozostać w pamięci.

Niewykorzystany skarb

Pilotowaniem wycieczek dla birdwatcherów zajmuje się w Polsce kilkadziesiąt osób. Istnieją także wyspecjalizowane biura podróży. Do kompletu brakuje już tylko, a może aż, zauważenia potencjału drzemącego w turystyce tego typu. Na napływie birdwatcherów najbardziej korzysta Białowieża, gdzie infrastruktura noclegowa i gastronomiczna jest najlepiej rozwinięta. – Nad Biebrzą z kolei zapewnienie noclegu czy obiadu dla kilkunastoosobowej grupy jest niezłym wyzwaniem, szczególnie w sezonie – przyznaje ornitolożka.

Z podobnymi problemami zmagają się wycieczki w innych przyrodniczo cennych miejscach ściany wschodniej. Polesie, Nadbuże, Roztocze – wymieniać można jeszcze długo. Te niesamowite tereny, oprócz naturalnych bogactw, łączy właśnie brak odpowiedniego zaplecza turystycznego.

Nie nauczyliśmy się doceniać tego, co oferuje nam nasza przyroda. Nie reklamujemy dobrze parków narodowych czy krajobrazowych, rezerwatów, a właściwie to postrzegamy je bardziej jako problemy. Może zatem powinniśmy spojrzeć inaczej? Zamiast za wszelką cenę podporządkowywać je sobie, wykorzystujemy to, co oferują. Przecież robią to za darmo.

Oczywiście nie można negować wpływu, jaki wywiera infrastruktura turystyczna. Nikt nie będzie chciał przyjeżdżać, jeśli dzikie życie zniknie z tych terenów. To ono jest magnesem. Rozwijając turystykę, należy więc robić to w sposób zrównoważony, nieszkodzący ani naturze, krajobrazowi, ani lokalnym mieszkańcom.

Dysponujemy skarbem, o którym inni mogą już tylko marzyć. Nauczmy się z niego korzystać. I nie zniszczmy tego.

■



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- w jej wyniku powstaje klif
- wielbicielka
- tkanina, włoskie miasto lub warszawski lokal
- rodzaj harmonii ręcznej
- stan w USA, z Mobile i Montgomery
- właściciel statku, przedsięwzięcia okrętowy
- męski odpowiednik kariatydy
- Bartolini... herbu Zielona Pietruszka
- zawodowa zaszywaczka dziur i rozdarć
- Maria Antonina jako córka Franciszka I i Marii Teresy
- owoce wyjadane przez szpaki
- Doński lub Samozwaniec
- rzeczy potrzebne na wyprawę
- książę mający prawo obierania cesarza
- o aucie na prąd
- lek wywołujący wymioty
- zapał, uniesienie
- kto go ma, pobiera pensję
- nauka o moralności
- uciekl z ojcem z Krety, lecz zginął
- knowanie, podstęp
- Rybackie lub Wrocławskie
- para – buch, jej koła w ruch
- przyłączony do Orlenu
- ze stolicą w Lilongwe
- Tewje... ze „Skrzypka na dachu”
- osłuchiwany stetoskopem
- stroma ścieżka górską
- prawo pierwszeństwa w nabyciu
- stosowany do impregnacji drewna
- cztery chusteczki haftowanej
- roślina, co owady wcina
- Andrzej Mleczko lub Henryk Sawka
- para zdjęć dająca trójwymiarowy obraz
- przyssane do nich maluchy z miotu
- cechuje dyplomatę i dżentelmena
- chocholi lub brzucha
- szerpa – ...wysokogórski
- zespół trzech instrumentalistów
- książki albo do chwały
- w Barcelonie, pachnąca kwiatem jabłoni
- jedyny w swoim rodzaju
- chęć odwzajemnienia się za dobro
- zastępca szefa resortu
- pokrywka, np. szkatułki
- ...księżycy” z Cher
- strapienie, troska

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

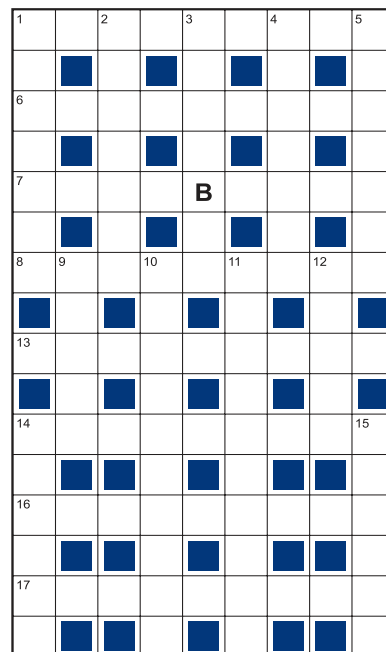
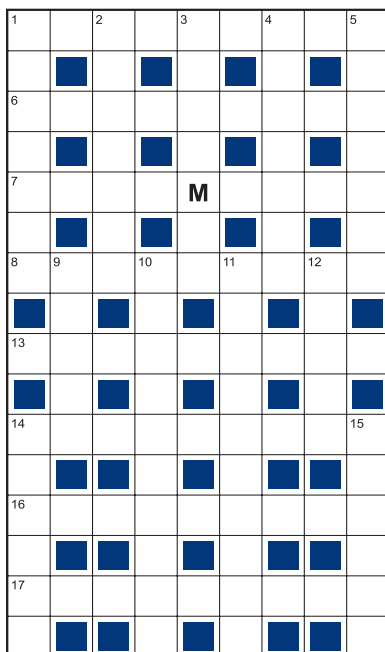
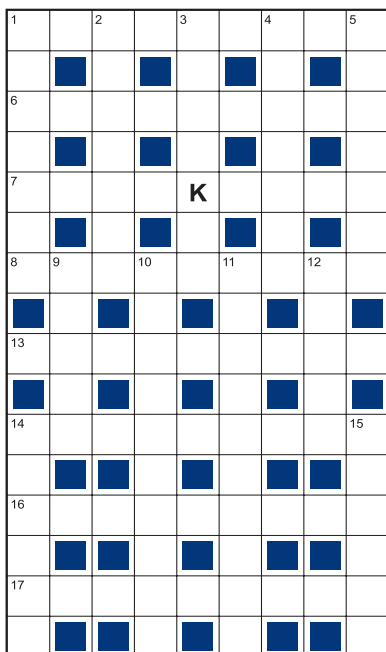
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1098”. Do rozlosowania książki „Uczennica mistrza” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 stycznia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1095” z nr. 51: Z malej winy duże lawiny.
Nagrody otrzymują: Krystyna Bodetko z Ostrołęki, Tomasz Chiliński z Warszawy, Henryk Sieklucki z Siekluk.

Każdy odgadnięty wyraz należy wpisać do jednego z trzech diagramów.
Kolejność określeń w obrębie poszczególnych trójek jest przypadkowa.

**Poziomo:**

- 1) jacht o dwóch kadłubach • delegat, emisariusz • wzywany, gdy cieknie
- 6) uprawia bawełnę na dużą skalę • pływa najszybszym stylem • matematyk Zygmunt Janiszewski z nią kojarzony
- 7) krótsza niż klasówka • ociupinka, krzynka • aprobata, akceptacja
- 8) napój z soku cytrynowego • ziemska lub tajemniczości, oczekiwania • kieruje zwierzyńcu ku myśliwym
- 13) po nim z żaby książę • uczestnik wczasów dziecięcych • dawniej zwierzę, teraz seksualny
- 14) zapoznajemy na turnusie • nie rzy, nie pasie się, lecz gra w trawie • dawniej zwany memuarem

- 16) największy instrument smyczkowy • śpiący budzi nim innych • kierownik oddziału szpitalnego
- 17) niezależność lub Palestyńska • zbyteczne grzeczności • spadek, dzieła po autorze

Pionowo:

- 1) państwo kościelne • wprawienie w uśpienie • ...Mołotowa
- 2) rysunek pustych pól krzyżówki • dramatyzm • ...pierzasty mylnie zwany paprotką
- 3) bywalec filharmonii • dog z komedii dell'arte? • w Londynie czerwony piętus
- 4) samolotem lub z jęzorem • szortów – krótka • rozwidlona gałąź

- 5) przekupień, czasem obwoźny, wędrowny • kłęby pyłu, zamieć • kanadyjsko-amerykański wodospad
- 9) Międzynarodowe... Poznańskie • w parze z katodą • futrzana pelerynka
- 10) ważna persona • odsapka, folga • ...widma, urządzenie pomiarowe
- 11) Butenko albo Szancer • ulic lub rodzaj obróbki skrawaniem • naśladowanie
- 12) w ziemi, w kamieniu, pod kimś • zbierane przez kwestujących • sąsiedzi nasi i Słowaków
- 14) chęć na coś zakazanego • kasza z całych ziaren jęczmienia • duży majątek ziemski
- 15) obracany siłą konia, wołu • zęba lub lukrecji • Zofia ...Szczucka

SUDOKU

Należy uzupełnić diagram, tak aby w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

		9	7		5	4	8	
5	8			9				7
2	7		8		6			1
4			6		3			1
	5				2			
			5			8	6	3
			3			1		
		3	9		7	5	2	
7	6	2					9	

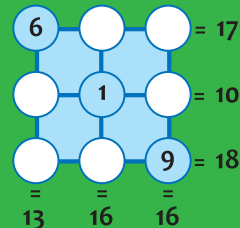
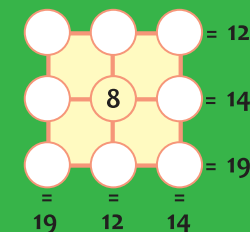
TRUDNE

7		1	2					
9							3	
		6		5			2	
					7	2	5	
			1	3				
5	8	3			6	1		
1		5					4	9
4				1	3			
		7						2

Rozwiązania na s. 64

FUBUKI

Należy uzupełnić diagram, tak aby w polach znalazły się wszystkie liczby od 1 do 9 i aby uzyskać sumy wskazane na końcu każdego rzędu i każdej kolumny.

ŁATWE**TRUDNE**

Nowy Rok jest także czasem regulowania długów, bo takie stare zobowiązania mogą się ciągnąć za człowiekiem i chwały nie przynoszą. Z wielu historii, które to potwierdzają, przypomnijmy tę Pawła Woźnego, obecnego ambasadora w Kolumbii.

To stara sprawa, jeszcze z czasów, kiedy pełnił on funkcję sekretarza ambasady RP w Bogocie, ambasadorem zaś był Jacek Perlin. Otóż specyfiką polskiej dyplomacji jest to, że dyplomaci i członkowie ich rodzin przebywający na placówkach nie są ubezpieczeni. Gdy zachorują – idą do lekarza, a MSZ zwraca im koszty porady. Jeżeli wysokość rachunku wynosi poniżej 1 tys. dol. – akceptuje go ambasador, jeżeli powyżej – to już jest sprawa centrali w Warszawie.

W opisywanym przez nas okresie rachunki z pewnej kliniki zaczęła przynosić ambasadorowi żona pana Woźnego. Takie za ponad 900 dol. A on je akceptował, nie wnikając w ich treść. Nie wiemy, czy stało za tym dobre wychowanie – że w sprawy dotyczące zdrowia nie zaglądamy – czy wiara, że wszyscy jesteśmy uczciwi, w każdym razie Perlin przynoszone przez żonę sekretarza rachunki podpisywał, choć sytuacja wydawała mu się coraz dziwniejsza, bo nie widział, żeby kobieta była chora.

On się dziwił, a księgowia ambasady wgryzała się w przynoszone rachunki. Aż w pewnym momencie zorientowano się, że chodzi o sprawy, których Rzeczpospolita obywatelom nie refunduje.

Jakie – to nie ma nic do rzeczy, choć pół MSZ sobie z tego później dworowało. Ważne jest co innego. Otóż sprawa oparła się o warszawską centralę. A stamtąd przyszła decyzja: zapominamy o wszystkim, niech tylko Paweł Woźny zwróci do kasy MSZ pieniądze za zakwestionowane rachunki, w sumie ok. 4 tys. dol. Mniej więcej tyle państwo Woźni zarabiali na placówce przez miesiąc. Na to Woźny odparł, że niczego nie będzie zwracał, bo przecież rachunki zaakceptował ambasador, więc on teraz ponosi za nie odpowiedzialność.

Bum! Perlin zapłacił z własnej kieszeni 4 tys. dol. Co oczywiście pamięta Woźnemu do dziś. Zresztą pamiętają to i w MSZ, jako sensację i towarzyską, i lekko kryminalną. Bo sztuką jest wykołegować przełożonego na 4 tys. dol., skoro Rzeczypospolitej się nie udało.

I teraz nasuwa się pytanie: jak Woźnemu uszło to wszystko na sucho? Pospekulujmy – ktoś go ochronił, i to ktoś ważniejszy niż urzędnicy MSZ? Spekulujmy dalej – chyba nieprzypadkowo ma w CV napisane, że w ambasadach w Bogocie i Mexico City odpowiadał także za sprawy bezpieczeństwa?

Zakończmy więc tylko informacją, że kariera dyplomatyczna Woźnego w czasach PiS ruszyła do przodu. Przez kilka miesięcy był u Mariusza Błaszczaka wiceministrem obrony, odpowiedzialnym za sprawy międzynarodowe. I z tej funkcji kilkanaście miesięcy temu wyjechał na stanowisko ambasadora. Raczej nas to nie dziwi.

Attaché



Talibowie zaostrzyli ostatnio środki bezpieczeństwa, na ulicach Kabulu pojawiło się więcej punktów kontrolnych. Władze nie podały powodu swojej decyzji. 26 grudnia 2022 r.

PENETRACJE

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

PROF. ELŻBIETA
MĄCZYŃSKA,

HONOROWA PREZES POLSKIEGO
TOWARZYSTWA EKONOMICZNEGO

Podstawowym podłożem obecnej podatności na krachy jest dokonujące się na naszych oczach przesilenie cywilizacyjne. Przełom ten przynosi czwarta rewolucja przemysłowa z wręcz niewyobrażalną siłą sztucznej inteligencji. Każda z uprzednich rewolucji zmieniała świat, i to w sposób chaotyczny. Nie inaczej jest w przypadku obecnej, tym bardziej że u wrót już czai się piąta, w wyniku której można się spodziewać, że roboty będą same ze sobą nawiązywać komunikację i będą współpracować bez ingerencji człowieka. Dlatego też na razie nie wystarcza nam wyobraźni, aby w pełni ocenić, jakie to może przynieść następstwa społeczno-gospodarcze.

wysokieobcasy

ANNA
DYMNA,

AKTORKA, ZAŁOŻYCIELKA FUNDACJI
„MIMO WSZYSTKO”

Gram u Moniki Strzępki w „Roku z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej”. Monika w pracy jest ciepłą, kochaną osobą, wspaniałym reżyserem, ale przede wszystkim stanęła przeciw do konkursu dyrektorskiego i go wygrała. To, co dzieje się teraz wokół niej, to jest dla mnie podbijanie kolejnej afery. To kolejne skłócanie ze sobą ludzi, dzielenie ich. Monika jest odważną, prawdziwą artystką.

Nigdy nie ukrywała, co myśli. W teatrze przecież spotykają się artyści o różnych poglądach, gustach, charakterach.

STYL

MONIKA
WITKOWSKA,

ZDOBYWCZYNI KORONY ZIEMI I K2

Pod Mount Vinson liczysz tylko na siebie – wokół ocean lodu, do sklepu jest cztery i pół... tysiąca kilometrów. Grudzień to pora, gdy trwa tam polarny dzień. Nie ma tam drzew, więc wzięliśmy ze sobą małą drewnianą choinkę, ona stworzyła nastrój. W ciasnym namiocie rozwiesiliśmy plastikowe girlandy, a na rozłożonej na śniegu karimacie ustawiliśmy imitację świątecznych potraw: śledź w puszcze, szprotki w pomidorach, grzybowa i barszcz z torebki. Nie było obrusa, a tym bardziej sianka, bo na Antarktydę nie można przywozić żadnych traw, nasion ani roślin.

PANI

JAN HOLOUBEK,

REŻYSER

Tadeusz Konwicki był obecny w moim życiu, odkąd pamiętam. Kiedy zrobiliśmy film o ojcu, a potem o Tadeuszu, trzymaliśmy się dość blisko. Mogłem z nim rozmawiać, zadawać mu pytania, również po śmierci ojca. To był wspaniały facet, mądry, dobry, o niezwykłej kulturze i poczuciu humoru. Nie tylko znakomity pisarz, ale też wybitny filmowiec. Strasznie mi się podobała jego twórczość. Jego kino było magiczne. Płynął wyżej niż reszta świata.

Aby język giętki...

ADAM MICHNIK

O ZAMORDOWANIU
PREZYDENTA NARUTOWICZA

W dziejach II RP ta zbrodnia rozpoczęła wojnę polsko-polską i naznaczyła naszą świadomość.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA

O PROF. MARCINIE WIĄCKU

To, co proponuje rzecznik, jest głęboko anachroniczne. On czuje się częścią aparatu państwowego.

NINA TERENTIEW

DO TOMASZA KAMMELA

Przestań się tak nadmuchiwać. Mniej emfazy, mniej uwielbienia, mniej trzepotu.

RADOSŁAW PIWOWARSKI

O KATARZYNIE FIGURZE

Nie czekała, aż ktoś jej wyreżyseruje życie, sama się za to wzięła.

KATARZYNA MILLER

O ROZWOJU

Nie rozwija nas ani potępienie siebie, ani usprawiedliwianie. Rozwój jest możliwy tylko dzięki poznawaniu siebie.

WŁODZIMIERZ KORCZ

O NATCHNIENIU

Natchnienie rodzi się u mnie ze strachu przed kompromitacją.

SZCZEPAN TWARDOCH

O BOKSOWANIU

Mam niską tolerancję dla niekompetencji. Natychmiast się irytuję. Jak tego gniewu robi się za dużo, idę poboksować albo dzwigam ciężary.

MICHAŁ DĄBRÓWKA

O NATALII KUKULSKIEJ

Wyśmiewanie przywar oraz błędów swoich czy partnera to dla nas forma terapii. Nie obrażamy się.

IWONA PAVLOVIĆ

O ZAPACHU

Do dziś pamiętam zapach gotowanych pyz ziemniaczanych z zasmażaną cebulką.



Dlaczego jedzonko odleciało?



Światowidzie, czy ty to widzisz?

Nie możesz spojrzeć sobie w twarz? Z pomocą przychodzi tokijski sklep Kamenya Omote, oferujący hiperrealistyczne maski wykonane techniką druku 3D. Właściciel interesu, Shuhei Okawara, który pozyskuje prawa do kolejnych oblicz, apeluje o traktowanie nabytków z szacunkiem, ale nietrudno sobie wyobrazić nadużycia ze strony klientów, takie jak posługiwanie się cudzym wyglądem podczas popełniania przestępstw. Nie wiemy, jak wam, ale nam wezwania Okawary wydają się trochę dwulicowe...

Umyj, zjedz i jedź

Sieć stacji benzynowych AMIC Energy wprowadziła do oferty abonament na... hot dogi. Kosztuje 69 zł i uprawnia do odbierania jednego hot doga dziennie przez 30 dni (nieodebrane przekąski przepadają). W formule miesięcznej subskrypcji sieć sprzedaje także, również za 69 zł, możliwość korzystania z myjni automatycznej – maksymalnie raz w tygodniu, czyli łącznie czterokrotnie. Czekamy na efektowną odpowiedź Orlenu, ale pewnie skończy się na promocji w stylu: do pięciu egzemplarzy „Do Rzeczy” dwa egzemplarze „Gazety Polskiej” gratis.

Kto ma utonąć, nie zawiśnie

Reżyser „Titanica” James Cameron twierdzi, że ostatecznie rozstrzygnął trwający od ćwierćwiecza spór o finałową scenę swojego megahitu. Przypomnijmy: zdaniem wielu główny bohater zmieściłby się na drewnianych drzwiach, na których dryfowała jego ukochana, co pozwoliłoby mu uniknąć wychłodzenia i w konsekwencji utonięcia. – Przeprowadziliśmy badanie naukowe, aby raz na zawsze rozstrzygnąć tę kwestię i wbić jej kołek w serce. Wykonaliśmy pogłębioną analizę kryminalistyczną, w której wziął udział specjalista od hipotermii – oświadczył twórca. Symulacje potwierdziły, że nie było możliwości, by Rose i Jack razem wyszli cało z katastrofy. To chyba koniec nadziei fanów na nakręcenie „dwójki”...



ROZWIĄZANIA

6 8 3 17 6 1 5 12
5 1 4 10 4 8 2 14
2 7 9 18 9 3 7 19
13 16 16 19 12 14

Pałac na wodzie

W fińskiej stoczni Meyer Turku został zwodowany największy wycieczkowiec świata. Icon of the Seas, zbudowany dla Royal Caribbean International, ma 365 m długości i dość miejsca, by pomieścić 7,6 tys. turystów. Statek będzie przez cały rok pływał po wschodnich i zachodnich Karaibach, a wśród oferowanych na nim atrakcji są własny wodospad i siedem basenów. Rodzi się pytanie, na co pasażerom „wszystkomającej” jednostki jakiegokolwiek egzotyczne wyspy – nie wystarczy Zalew Zegrzyński?

W	Y	S	L	A	N	N	I	K	K	A	T	A	M	A	R	A	N	I	H	Y	D	R	A	U	L	I	K
A	Z	R	O	R	O	R	E	O	I	I	I	E	U	A	U	I	I	U	I	I	U	A	U	I	I	U	
T	O	P	O	L	O	G	I	A	K	R	A	U	L	I	S	T	A	P	L	A	N	T	A	T	O	R	
Y	A	E	A	M	T	G	O	O	G	N	G	O	A	Z	N	G	O	A	Z	N	G	O	A	Z	N	G	
K	A	R	T	K	O	W	K	A	A	F	I	R	M	A	C	J	A	O	D	R	O	B	I	N	K	A	
A	A	I	K	R	J	Z	A	H	R	Z	A	U	I	W	Z	A	U	I	W	Z	A	U	I	W	Z		
N	A	G	A	N	I	A	C	Z	L	E	M	O	N	I	A	D	A	A	T	M	O	S	F	E	R	A	
N	N	L	Z	T	S	M	A	A	A	A	D	R	Y	A	A	D	R	Y	A	A	D	R	Y	A	A		
P	O	C	A	L	U	N	E	K	K	O	L	O	N	I	S	T	A	D	R	A	P	I	E	Ż	C	A	
D	L	S	S	L	B	T	K	K	L	B	T	K	K	L	B	T	K	K	L	B	T	K	K	L	B		
P	A	M	I	E	T	N	I	K	P	A	S	I	K	O	N	I	K	P	A	S	I	K	O	N	I		
E	Z	R	I	O	S	W	O	O	L	Z	W	O	O	L	Z	W	O	O	L	Z	W	O	O	L	Z		
C	H	R	A	P	A	N	I	E	K	O	N	T	R	A	B	A	S	O	R	D	Y	N	A	T	O	R	
Z	T	T	R	U	G	O	N	S	S	N	S	S	N	S	S	N	S	S	N	S	S	N	S	S	N		
A	U	T	O	N	O	M	I	A	S	P	U	S	C	I	Z	N	A	C	E	R	E	G	I	E	L	E	
K	R	R	T	A	C	E	K	I	K	E	N	I	K	E	N	I	K	E	N	I	K	E	N	I	K		

ŁATWE

6	3	9	7	1	5	4	8	2
5	8	1	2	9	4	6	3	7
2	7	4	8	3	6	9	5	1
4	9	8	6	7	3	2	1	5
3	5	6	1	8	2	7	4	9
1	2	7	4	5	9	8	6	3
9	4	5	3	2	8	1	7	6
8	1	3	9	6	7	5	2	4
7	6	2	5	4	1	3	9	8

TRUDNE

7	3	1	2	4	8	9	6	5
9	5	2	6	7	1	4	3	8
8	4	6	3	5	9	7	2	1
6	1	4	8	9	7	2	5	3
2	7	9	1	3	5	6	8	4
5	8	3	4	2	6	1	9	7
1	6	5	7	8	2	3	4	9
4	2	8	9	1	3	5	7	6
3	9	7	5	6	4	8	1	2



DANIA Z GÓR

Kiedy ruszymy na narty w słowackie Tatry, warto wiedzieć, czym i gdzie można się posilić.

Zupy – czosnkowa, kwaśnica, z soczewicą

Polievka to najwyklesza w świecie zupa. Porcje nie są duże, więc idealnie nadadzą się jako rozgrzewająca przystawka po jesiennej czy zimowej wycieczce górskiej. Wszystkie zupy gotowane są na bazie rosółu z kurczaka (*kuřecí vývar*). Najpopularniejsze zupy to *kapustová polievka*, czyli nasza góralska kwaśnica; *cesnaková polievka* – zupa czosnkowa, szczególnie polecana, która jest raczej czosnkowym rosółkiem, a nie zupą kremem; *šošovicová polievka* – niespotykana w Polsce zupa soczewicowa, gęsta, rozgrzewająca i syta.

Gdzie najlepsze? Nowa Leśna oraz schronisko Zamkowskiego.

Wieprzowina pod każdą postacią

Innymi słowy, porcja mięsna dla prawdziwych mężczyzn. Wieprzowe żeberka (*bravčové rebierka*) lub golonka (*bravčové koleno*), odpowiednio wcześniej zamarynowane, podane są z ziemniakami lub frytkami i masą surówek. Idealny rzut kalorii akurat po prawdziwej górskiej wyrypie. Dla niezdeterminowanych często góralskie koliby mają też w ofercie zestaw różnych mięs i dodatków – kielbasy, żeberka, schabowe wymieszane z plackami, pierogami, bryndzą i grillowanymi warzywami – wszystko podane na jednym talerzu. Normalnie mięsna uczta.

Gdzie najlepsze? Stary Smokowiec, Zuberec.

„Na Szczybie. Magazyn Ludzi Gór”, nr 6 (26), listopad 2022

na **Szczybie**



FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), MEMY GORSZEGO SORTU

eprasa.pl 0fb0cda6b7



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz

e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dzon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biala)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,

Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,

Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytorki: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszki, ul. Pułtusa 120

WYDAWCZA:

Fundacja Oratio Recta

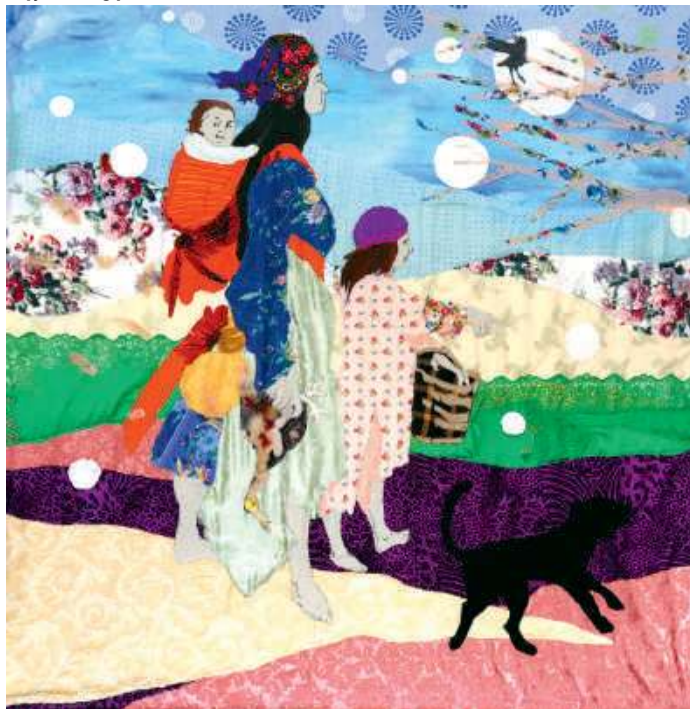
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WVBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Wędrujące obrazy

Małgorzata Mirga-Tas nieustannie przeczarowuje świat. „Wędrujące obrazy” to jej pierwsza wystawa po wielkim sukcesie, jakim okazało się 59. Biennale Sztuki w Wenecji. Artystka jest obecnie najważniejszą reprezentantką romskiej sztuki współczesnej. Mierzy się z ikonograficzną spuścizną sztuki dawnej, tworzy romskie konthistorie, mówi własnym głosem. Inspiruje się zarówno malarstwem renesansowym, jak i codziennością, przeobraża na swój użytek motywy dziedzictwa europejskiego i sztuki nowożytnej, ale też bada i wykorzystuje fotografie z rodzinnych archiwów.

Kie Serina, 2018



**Międzynarodowe Centrum Kultury
Kraków, Rynek Główny 25
do 5 marca**

Wizyta rodzinna, 2022





MFF
W INNSBRUCKU
NAGRODA JURY
NAJLEPSZY FILM

MFF
W SAINT-JEAN
-DE-LUZ
NAJLEPSZY AKTOR

MOUNTAIN
FILM FESTIVAL
NAGRODA NETPAC
NAGRODA JURY
MŁODZIEŻOWEGO



WISCONSIN
FILM FESTIVAL
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI

CINEMASIA
FILM FESTIVAL
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI

MFF
W PALM SPRINGS
NAGRODA JURY
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI

OSCARS® NOMINACJA
NAJLEPSZY FILM MIĘDZYNARODOWY

ZNAJDŹ TO, CZEGO SZUKASZ
W NAJMNIEJ OCZEKIWANYM MIEJSCU



लुनाना Lunana

SZKOŁA NA KOŃCU ŚWIATA

W KINACH OD 13 STYCZNIA





Zostań dawcą szpiku!

» Otwórz usta, pobierz wymaz, to naprawdę proste!

Zamów pakiet rejestracyjny wchodząc
na **dkms.pl** lub **zeskanuj kod QR.**



Dla osób zmagających się z nowotworami krwi przeszczepienie szpiku jest często jedyną szansą na pokonanie choroby. Wiele z nich niestety nie znajduje zgodnego dawcy w rodzinie i **potrzebuje pomocy dawcy niespokrewnionego. Zarejestruj się już dziś.** Być może to właśnie Ty jesteś osobą, na którą czeka potrzebujący pomocy pacjent.

Fundacja DKMS

ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa

T +48 22 882 94 00 • F +48 22 882 94 02 • kontakt@dkms.pl • dkms.pl

